NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 18 listopada 1911. N. 46.

Wyjazd Siczyńskiego ze Stanisławowa.

(Treść na str. 2).

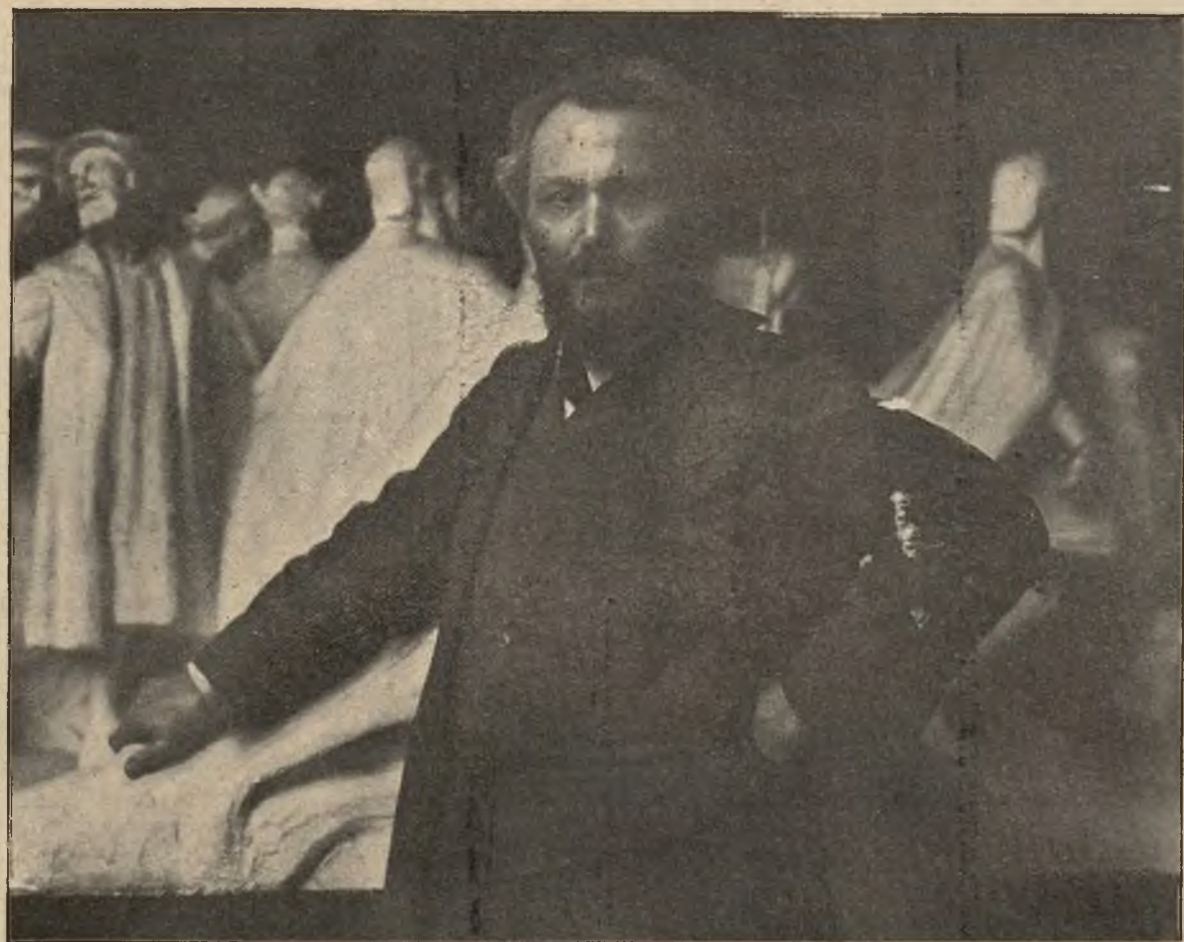


Wyjazd Siczyńskiego ze Stanisławowa.

(Do illustracyi tytułowej).

Zabójca ś. p. Andrzeja Potockiego, Mirosław Siczyński uciekł z więzienia stanisławowskiego. Była to jednak ucieczka całkiem niezwykła. Przedwczesne opuszczenie austryackich domów karnych nie jest rzeczą zbyt łatwą. Tylko wyjątkowo uzdolnieni przedstawiciele fachu złodziejsko-bandyckiego próbowali dotychczas szczęścia w tem **trudnem** przedsięwzięciu, wymagającem długich przygotowań i karkołomnej zręczności przy ucieczce przez zakratowane okna, zaryglowane **drzwi** i strzeżone przez wartę mury... W ucieczce Siczyńskiego nie było wcale tych romantycznych wprawdzie, lecz bardzo ryzykownych epizodów. Bohater ukraiński opuścił mury więzienia spokojnie i z całą paradą. W swej celi, czy też w suterynach gmachu przebrał się w mundur strażnika i w towarzystwie swych nowych „kolegów" wyszedł przez pilnie strzeżone drzwi i bramy więzienne, które na rozcież się przed nim otworzyły — do oczekującego nań automobilu! Przed odjazdem pożegnał się z pewnością czule z przedstawicielami władzy więziennej, t. j. ze strażnikami-Rusinami, którzy jak przystało na „patryotów" ruskich nie omieszkali ze swej strony oddać na pożegnanie pokornego pokłonu „narodowemu bohaterowi"...

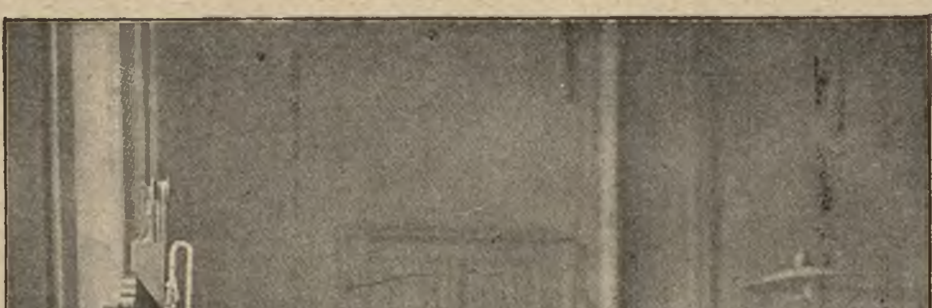
Prawdziwa idylla! To też ściśle rzecz biorąc, nie można mówić o ucieczce Siczyńskiego. Bohater ukraiński, sprzykrzywszy sobie rolę „męczennika", postanowił wreszcie wyjechać ze Stanisławowa i zamiar swój uskutecznił bez przeszkody. Zaznaczył przytem swe turystyczno-sportowe upodobania: rozpoczął nowy okres swego życia od przejażdżki automobilowej. W każdym razie jest to zabawka mniej szkodliwa, niż tak ulubione przez ukraińców... pałki i brauningi.



Wystawa polska w „Secessyi" wiedeńskiej: Rzeźbiarz W. Szymanowski na tle swej grupy „Pochód Wawelski".

Polka laureatką Nobla.

Nie umilkły jeszcze echa nędznej i złośliwej plotki, która chciała rozgłośną naszą uczoną p. Maryę Curie-Skłodowską uczynić bohaterką skandalicznego romansu, gdy oto nadeszła wieść, że szwedzka Akademia Umiejętności przyznała w tym roku światową nagrodę Nobla w zakresie chemii, naszej znakomitej rodaczce, której zasłużoną sławą rozbrzmiewa dziś świat cały.



Polka laureatką Nobla: Dr. Marya Curie-Skłodowska w swem laboratoryum.

P. Marya Skłodowska Curie urodziła się 7 listopada 1867 roku, liczy zatem obecnie 44 lata. Karyerę ściśle naukową rozpoczęła w r. 1893 w Paryżu jako licencyatka fizyki na tamtejszym uniwersytecie. Była następnie nauczycielką w „Ecole superieure" dla dziewcząt w Sèvres. Uzyskawszy w r. 1903 doktorat fizyki, otrzymała docenturę na uniwersytecie paryskim, a w r. 1909 została zwyczajnym tego przedmiotu profesorem. Wspólnie z mężem swoim Piotrem Curie, którego zaślubiła w r. 1898, pracowała usilnie nad nowemi pierwiastkami, a w szczególności nad radem i polonium, co zjednało jej rozgłos i rozliczne zaszczytne wyróżnienia. W r. 1903 otrzymała wspólnie z mężem za odkrycia naukowe w zakresie działania radu nagrodę Nobla z fizyki (wspólnie z Becquerelem).

Po śmierci tragicznej męża w r. 1904 (zginął przejechany na moście Sekwany, przez wóz ciężarowy) prowadziła dalej jego laboratoryum i ogłosiła cały szereg pierwszorzędnej wartości rozpraw. W tym roku postawiono jej kandydaturę do Akademii francuskiej, ale wniosek przeciwników, dążących do wykluczenia kobiet z Akademii, uzyskał większość dwóch głosów i kandydatura jej upadła.

Akademia szwedzka przyznając p. Curie po raz drugi nagrodę Nobla, w sposób zaszczytny podniosła jej zasługi wobec nauki i wynagrodziła jej chlubnie doznany w Akademii francuskiej zawód. Krakowska Akademia Umiejętności dotąd nie uznała zasług naukowych naszej rodaczki, co potwierdza **prawdziwość** przysłowia: *nemo propheta in patria.*

Wojowniczy parlament.

Kronika brutalnych ekscesów i skandalicznych zajść, jakich widownią jest parlament austryacki od lat kilku, pomnożyła się nowym epizodem. Gorszące to zajście przysparza tym razem chluby kulturze wszechniemców, której niepodzielną zasługą będzie, że pierwsza wniosła do obrad parlamentu nowe narzędzie walki, a mianowicie harap.

Bohaterami niekulturalnej walki byli tym razem dwaj niemcy: znany z rozlicznych awantur parlamentarnych wszechniemiecki poseł Malik i kolega jego radykał niemiecki Hummer.

Zajście rozegrało się na wieczornem posiedzeniu izby poselskiej w dniu 10 b. m. Podczas dyskusyi



Wojowniczy parlament: Poseł Malik.

nad jakiemś niemieckiem przedłożeniem, poseł Hummer w zapytaniu do prezydenta izby zacytował jakiś artykuł wszechniemca Malika, poczem dodał:



Wojowniczy parlament: Poseł Hummer.

„Od posła Malika, któremu rada honorowa *(Ehrenrat)* odmówiła zdolności dania zadośćuczynienia, nie można otrzymać żadnej rycerskiej satysfakcyi za to kłamliwe sprawozdanie".

P. Malik w odpowiedzi nazwał Hummera komedyantem i łajdakiem i zagroził mu harapem, a nie czekając dalszych wymyśleń ze strony Hummera, skorzystał z tego, że Hummer podszedł ku niemu i dobywszy nagle z kieszeni surduta rzemiennego harapa, uderzył nim dwukrotnie Hummera. Ten broniąc się chwycił tekę z aktami i rzucił nią w Malika, który wyciągnął po raz drugi harap i dwa razy uderzył nim Hummera w twarz tak silnie, że cała nabiegła krwią i opuchła. Hummer zaczął krzyczeć: „Ja tego psa zastrzelę!“ i rzucił się na Malika, ale posłom udało się wreszcie rozdzielić przeciwników, którzy mają zakończyć swe porachunki przed sądem karnym.

Wystawa polska w Secessyi wiedeńskiej.

Tegoroczna jesienna wystawa „Secessyi“ wiedeńskiej, będąca zazwyczaj niepowszedniej wagi zdarzeniem w kronice artystycznego ruchu stolicy Austryi, stoi pod znakiem dwóch znakomitych artystów polskich. Pierwszym z nich jest rzeźbiarz Wacław Szymanowski, drugim znany szeroko w całej Polsce malarz, świeżo mianowany profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych Jacek Malczewski. Fakt otwarcia całkowitego niemal gmachu „Secessyi“ dla dzieł dwóch artystów Polaków jest bardzo znamiennym wypadkiem w stosunkach artystycznych Wiednia, który dotąd bardzo ściśle przestrzegał zasady ekskluzywności swoich wystaw. Zbyt długo jednakże artyści polscy dawali znać o sobie, zbyt wybitną była rola sztuki naszej na wystawach wiedeńskich sporadycznie występującej, aby miała dłużej czekać na tego rodzaju zaszczytne wyróżnienie. A trudno było o wybór silniejszych indywidualizmów artystycznych, jak tych dwóch, których gwiazda tak jasno świeci na horyzoncie współczesnej sztuki polskiej, a talent posiada wszystkie cechy odrębności rasowej, dające im prawo do reprezentowania polskiej myśli artystycznej na wielkim międzynarodowym turnieju. O zaszczyt zajęcia trzeciego miejsca na wystawie ubiegał się także artysta-malarz Włodzimierz Tetmajer, którego pełen brawury indywidualizm doskonaleby dopełniał obrazu rdzennie swojskiego pierwiastku w sztuce polskiej. Ale komitet „Secessyi“, obawiając się takiego najazdu Polaków, postanowił dla zadokumentowania swego stanu posiadania trzy mniejsze sale oddać artystom niemieckim Nowakowi, Bondyemu i Eckowi. Wobec dominującego jednak wrażenia, jakie wywołuje wystawa



Okrucieństwa włoskie: Przyjazd korespondenta angielskiego na linię bojową pod Trypolisem.



Okrucieństwa włoskie: Walki na ulicach Trypolisu podczas szturmu wojsk tureckich.

dwóch wielkich Polaków. drobna wystawka niemiecka tworzy zaledwo dodatek.

Wacław Szymanowski po raz pierwszy wystąpił z tak olbrzymim dorobkiem. Głównym objektem wystawy jest rozgłośny projekt „pochodu królów



Wystawa polska w „Secessyi" wiedeńskiej: Fragment „Pochodu królewskiego" na Wawelu. Grupa Jagiellonów.

Polskich", nad którym artysta od lat kilku w cichości pracował, a który obecnie po raz pierwszy ukazał na widok publiczny. Wspaniała idea artysty znalazła istotnie pełne głębokiej myśli patryotycznej wcielenie w kompozycyi artystycznej, w ogólnym rysunku i szczegółach imponującej ogromem figur i ich ugrupowaniem. P. Szymanowski na wykonanym osobno z drzewa i w jednej z górnych sal „Secessyi" wystawionym modelu uzmysławia całkowicie swój projekt. Proponuje on mianowicie połączenie dwóch skrzydeł Wawelu w miejscu, gdzie były kuchnie królewskie i dzisiejsza brama wjazdowa, osobnym łukowym krużgankiem, zakończonym dwoma portalami, na którym chce umieścić pochód 25 olbrzymich postaci, uosabiających ideę narodową wcieloną w postaci królów polskich i myślicieli.

Pochód ten otwiera symboliczna postać Losu, za którą snują się trzy wielkie grupy: Zygmunt III. i Batory w odpowiedniem otoczeniu, Zygmunt I., Zygmunt August i Barbara, grupa humanistów, Jagiellonowie i Piastowie. Postaci tego pochodu modelowane z ogromną siłą i polotem mają być podwójnej naturalnej wielkości z bronzu. Cały koszt swego projektu oblicza artysta na 400 000 koron. Wobec ogromu wcielonej myśli narodowej, wobec kolosalnego wysiłku talentu artysty, który stworzył w tem dziele rzecz pomnikową, a zamknął weń pracę całego życia, kraj ma obowiązek, wspaniały ten pomysł urzeczywistnić i dać Wawelowi tę ozdobę, która będzie wielkim pomnikiem Sztuki polskiej w dobie, która przejęła wielkie dzieło odnowienia prastarej siedziby królów polskich.

Obok pochodu Wawelskiego, który artysta wystawił w modelu $^1/_{10}$ wielkości naturalnej, znajduje się tu olbrzymi w drzewie wykonany model pomnika Chopina dla Warszawy (Dzieło nagrodzone na konkursie), model pomnika Słowackiego, grupa marmurowa „Macierzyństwo" i cały szereg prac drobniejszych.

Jacek Malczewski wystawił około 70 obrazów i szkiców, dzieł po większej części u nas znanych, a charakteryzujących bardzo dobitnie jego niezwykle oryginalny indywidualizm i lotną fantazyę. Obok dwu najcelniejszych dzieł „Błędnego koła" i „Melancholii" obok portretów hr. Wodzickiego, p. Gralewskiego, dra Ł., są tu całe ściany kompozycyi drobniejszych mających piętno gienialnej fantazyi, a przedstawiających zawsze jakieś zagadki wymagające komentarza. Niemiecka publiczność i prasa nie rozumiejąc symbolów Jacka, zachwyca się tem co przedewszystkiem rzuca się w oko tj. niedoścignioną werwą i precyzyą rysunku i świetnością kolorytu.

Uroczyste otwarcie wystawy polskiej w Secessyi odbyło się w dniu 9 b. m. w obecności ministra oświaty Hussarka, b. prezydenta min. dra Bienertha, całej artystycznej i nieartystycznej kolonii polskiej oraz urzędowych przedstawicieli sztuki.

Minister Hussarek z szczególnem zajęciem przez przeszło godzinę studyował „Pochód królów na Wawel" Szymanowskiego, również i b. prezes gabinetu bar. Bienerth zwiedzał wystawę bardzo szczegółowo i słuchał z zajęciem objaśnień, udzielanych mu przez jednego z artystów niemieckich, a następnie przedstawił się Szymanowskiemu i złożył mu gratulacye.

Obowiązki gospodarza w dniu tz. „Vernissagu" pełnił w imieniu własnem i nieobecnego kolegi, Jacka Malczewskiego, p. Wacław Szymanowski. Wystawa polska trwać będzie dwa miesiące.



Wystawa polska w „Secessyi" wiedeńskiej: Plastyczne uzmysłowienie projektu W. Szymanowskiego umieszczenia „Pochodu królewskiego" na zamku Wawelskim.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

10)

Dnia 3 lutego opuściłem dom w Lantrig. Dyliżansem udałem się do Plymuth, gdzie przenocowałem w hotelu pod godłem „Jeden i wszyscy“, przy ulicy Starej.

Nazajutrz zapewniłem sobie przejazd do Bombaju na pokładzie statku „Fala złota“, udającego się do Indyi Wschodnich, a mającego — jak mnie zapewniono — rozwinąć żagle za dwa dni. Kapitan jego zwał się Jakób Carey.

Miałem zamiar, w razie gdybym w Plymuth nie znalazł odpowiedniego okrętu, udać się aż do Bristolu, gdzie ruch handlowy i pasażerski jest znacznie większy. Na szczęście, w niezbyt wonnej dzielnicy miasta, noszącej miano Barbicane, spotkałem się z bardzo miłym młodzieńcem, który dowiedziawszy się czego szukam, oświadczył, że i on właśnie zajęty był podobnemi poszukiwaniami i już znalazł statek, mający wkrótce odpłynąć. Był, jak mi powiedział, dependentem u adwokata, lecz po śmierci swego starego pryncypała nie mógł się zgodzić z jego następcą, posiadającym nieznośny charakter. Ponieważ oszczędził tyle pieniędzy, że mógł rok, albo nawet dwa obejść się bez stałego, płatnego zajęcia i poświęcić kwotę zarobioną na rozrywki, postanowił podróżować. Za cel swej podróży wybrał Bombaj, po części dla poznania cudów przyrody indyjskiej, po części zaś dla zobaczenia się z bratem, urzędnikiem Kompanii Indyi Wschodnich.

Ponieważ chwilowo miał wolnego czasu dosyć, zaproponował mi bardzo uprzejmie zwiedzenie razem wybranego przez się okrętu, zapewniając, że w razie, gdy go uznam za odpowiedni dla mnie, i on, pragnąc korzystać z mego towarzystwa, zamówi również na nim miejsce dla siebie. Rozmowa z nim była tak łatwa i zajmująca, że z radością zgodziłem się na propozycyę, która wydała mi się ponętną i ujmującą. Statek, po sumiennem zbadaniu, przypadł nam zupełnie do gustu, a kapitan Carey miał minę tak dzielnego i zacnego człowieka, że nie namyślając się długo, zawarliśmy z nim natychmiast układ o warunki i cenę przejazdu.

Przed udaniem się do hotelu „Jeden i wszyscy“, uznałem za rzecz właściwą zapytać mego nowego przyjaciela o jego nazwisko. Zowie się Szymon Colliver i mieszka — jak mi powiedział — w Stokes, dokąd dziś jeszcze powrócić musi, aby przygotować się do nieco za pośpiesznie zaprojektowanej podróży. Radził mi przytem przenieść przedewszystkiem zaraz moje bagaże z hotelu „Jeden i wszyscy“ do „Witajcie nam“, małej, lecz doskonałej gospody, położonej przy ulicy Barbicane, skąd — jak twierdził — mieć będę bliższą drogę do „Fali złotej“. Odległość od portu do ulicy Starej nie była w rzeczy samej zbyt wielką, lecz dla kogoś, co jak ja zmuszony byłem odbywać ją cztery do pięciu razy dziennie, tworzyła wcale nużącą przechadzkę. Zgodziłem się wreszcie na przeniesienie się do „Witajcie nam“, głównie dla tego, że gospodarz hoteliku wszedł podobno jako majtek w skład załogi okrętu, którym popłynąć mieliśmy do Bombaju, a jak Colliver zapewniał, człowiek znany i usłużny, może nam się bardzo przydać w ciągu długiej i męczącej drogi.

Mój nowy znajomy zaprowadził mnie do polecanej przez siebie gospody, wyglądającej dość ponuro, lecz utrzymanej czysto i porządnie. Po krótkim targu z Johnem Railton, właścicielem czy też dzierżawcą hoteliku, ułożyłem się o warunki mego pobytu aż do chwili opuszczenia portu przez „Falę złotą“. Po dokonaniu czego i wypiciu na znak porozumienia szklanki wina w szynku, należącym do oberży, Szymon mnie opuścił, ciesząc się mocno — jak powiedział — nieocenioną zdobyczą, jaką było dla niego pozyskanie towarzysza podróży, tak ogromnie przypadającego mu do gustu.

Co do mnie przyznać muszę, że nie byłem zbytecznie zadowolony z Johna Railton, który wydał mi się figurą bardzo nieprzyjemną i dziwaczną, zwłaszcza, gdy zalewał się nad miarę mocnemi trunkami. Lecz po przyniesieniu rzeczy moich z hotelu do gospody, co załatwił dobrze i z wielkim pospiechem, urządziłem się tak, żeby go widywać jak najrzadziej. Za to żona jego zajmowała się mną pilnie i życzliwie. Była to kobieta nadzwyczaj łagodna, chociaż — jak to łatwo zauważyć mogłem — martwiąca się strasznie nałogiem męża. Pomimo to kochała go bardzo i szczerze zasmuconą była jego wyjazdem, co spostrzegłem równie łatwo. Często się zdarza, że niewiasta dobra i uczciwa, rozmiłowuje się w mężczyźnie, więcej do bydlęcia niż do człowieka podobnym.

Dziwnem jednak wydało mi się bardzo, gdy kiedyś zwróciłem jej uwagę, że ma oczy zaczerwienione od płaczu, przyczem wspomniałem, że smutek jej wywołany został prawdopodobnie przyszłym odjazdem męża. Spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem i rzekła, że pojąć nie może, dlaczego mówię z nią o tem, gdy postanowienie Johna zapadło tak nagle i niespodzianie, iż zaledwie w nie uwierzyła. Przyznała jednak, że może to i lepiej, dodając: „John jest dobrym marynarzem, zawsze więc powinnam była się spodziewać, że pewnego dnia mnie opuści“. Niepokoiła się wielce o swoją małą, siedmioletnią córeczkę. Dręczyło ją, że dziewczynka słuchać musi nieraz nieprzyzwoitej rozmowy i patrzeć się na brutalne zachowanie się kundmanów szynkowych. Pocieszałem stroskaną, jak umiałem, wątpię jednak, aby słowa moje uspokoiły ją zupełnie.

„Fala złota“ podniosła kotwicę dnia 6 lutego i dotarła do Bombaju, po długiej, sto trzy dni trwającej podróży dnia 21 maja, czas jakiś bowiem wstrzymywały jej bieg prawidłowy przeciwne wiatry, wiejące w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei.

Przed wyjazdem z Plymuth rzadko widywałem się z Szymonem Colliver, chociaż dwukrotnie — jak mi powiedziano — dopytywał się o mnie w gospodzie „Witajcie nam“. Na statku jednak, jako jedyni dwaj pasażerowie, zmuszeni byliśmy z natury rzeczy często z sobą przebywać. Przyznać muszę, że znalazłem w nim bardzo miłego kompaniona. Często, przy świetle księżyca, przechadzaliśmy się po pokładzie, przyglądając się ogromowi gwiazd na niebie, o których Colliver umiał opowiadać wiele ciekawych rzeczy. Często również śpiewał ładne piosenki, których nigdy przedtem nie słyszałem, na nutę — jak przypuszczam, chociaż nie wiem dlaczego — przez niego samego skomponowaną. Głos jego posiadał skalę rozległą. Był tenorowy, o srebrnym dźwięku, oraz niesłychanie czysty i pełen słodyczy. Czarował nim do tego stopnia, że widziałem nieraz — gdy nucił jakąś starą piosenkę miłosną albo ludową — zatrzymujących się przed nim majtków, słuchających go z rozwartemi ustami, a nawet ze łzami w oczach. Kiedy niekiedy słowa jego niektórych pieśni tętniły mistyczną jakąś tajemniczością, albo fatalizmem; zawsze jednak, czy mówił, czy śpiewał, organ jego głosu brzmiał ślicznie. Pewnego dnia zapytałem go: dlaczego, rozporządzając tak pięknym głosem i tak niepospolitym talentem, nie próbował szczęścia w zawodzie teatralnym. Na to roześmiał się i odparł żwawo, że nie zdołałby nigdy poddać się ani regułom, ani wymaganiom sztuki, a również zmusić się do śpiewania w każdem, dobrem czy złem usposobieniu, przed obojętną dłoń publicznością.

Nie zdaję sobie sprawy, dlaczego tak szeroko rozpisuję się o tym niezwykłym człowieku. Nasze dwa istnienia w ciągu krótkiego czasu biegły obok siebie równolegle, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa nie spotkają się już z sobą nigdy. Życie moje było dotąd życiem spokojnem i pospolitem, więc nie często spotykałem osobistości nadzwyczajne i dlatego prawdopodobnie sąd mój wydać się może niekompetentnym, wątpię jednak, aby istniało wielu ludzi podobnych do Szymona Colliver. Dla mnie był on od stóp do głowy zagadką. Aby człowiek, tak suto udarowany od natury — bo prócz uroczego wdzięku wykwintnej rozmowy i zachwycającego głosu, posiadał on głęboką znajomość kilku obcych języków — mógł być tylko skromnym dependentem u adwokata, uważać chyba należy za cud prawdziwy.

Lecz o swojej przeszłości nie wspominał nigdy, pomimo, że z wielkiem zajęciem przysłuchiwał się moim opowiadaniom o Lantrig i o pozostawionej tam przezemnie żonie i synku. Nie zauważyłem jednak, aby go interesował cel mojej podróży. Nie okazywał w tym względzie żadnej ciekawości. Zresztą, przeciętnie najzupełniej był obojętny na wszystko, co dotyczyło dobrych lub złych losów, oraz przekonań ogółu naszych bliźnich. Już mnie z nim nic nie łączy obecnie, bo drogi nasze się rozeszły, lecz powiem szczerze, że w chwili, gdy na pożegnanie ściskałem mu rękę z żalem, czułem, że rozstaję się z najbardziej zachwycającym towarzyszem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w mojem życiu.

Podróż nasza, jak to już zaznaczyłem, odbyła się bez szczególniejszych zdarzeń, chociaż dla mnie, który znałem morze tylko z przejażdżek łódkami w pobliżu naszych wybrzeży, nastręczało się w drodze tysiące nowych widoków, nigdy nie widzianych przedtem i nowych wrażeń, nigdy przedtem nie doznanych. O cudach przyrody indyjskiej i niezmiernie ciekawej charakterystyce miasta Bombaju pisać nie będę, zajęłoby to bowiem zbyt wiele miejsca w mo- im dzienniku. Wszystko zaś opowiem kiedyś ustnie, gdy Bóg raczy pozwolić, abym zdrów i cały powrócił do Lantrig. Mimochodem tylko wspomnę, że dekoracye sztuki, które w czasie świąt Bożego Narodzenia podziwialiśmy z Margery w teatrze bristolskim, niczem są w porównaniu z tem, co oczy moje podziwiają tu obecnie. Kręcąc się wśród bazarów, potrącam nieustannie w tłoku to Hindusów, to Malajczyków, albo Żydów i Murzynów. Z początku nie umiałem odróżnić jednych od drugich. Brałem wszystkich za Hindusów. Dopiero pan Elihu Sanderson nauczył mnie rozpoznawać różnice ras i ich typowych przedstawicieli. W pierwszej chwili również przejmowały mnie żywym podziwem: jaskrawość domów, pomalowanych na czerwono, żółto lub niebiesko; mnóstwo pięknych drzew, rosnących przy ulicach; stada ptaków, siedzących na dachach i wpadających nawet niekiedy między przechodniów; rażące nieraz zachowanie się osobników różnych narodowości; wreszcie ogromna ilość krów, odgrywających tu rolę koni.

Dość jednak o tem wszystkiem, przejdźmy teraz do omówienia moich stosunków z panem Elihu Sandersonem.

Już na wybrzeżu portowem pożegnałem się z kapitanem „Fali złotej“ i przyjacielem moim Colliverem, miałem bowiem zamiar poprosić pana Sandersona o wskazanie mi adresu dobrego jakiego lokalu, w którym mógłbym zamieszkać w ciągu krótkiego czasu, jaki spędzić miałem w Bombaju. Kapitan Carey opowiedział mi już wprzódy, gdzie znajdują się biura Kompanii Indyi Wschodnich, do których udałem się natychmiast. Jakkolwiek odszukanie ich zdawało mi się łatwem, zbłądziłem jednakże, gapiąc się mimowoli na gmachy, budowane w odmiennym od naszego stylu, oraz na różnobarwny tłum mnie otaczający. Gdy nareszcie dotarłem do domu, mieszczącego w sobie zarząd główny, jakież było moje zdziwienie na widok wychodzącego zeń Colliwera, lecz przypomniałem sobie, że mi powiedział, iż brat jego urzęduje w Kompanii. Tymczasem wysłano go, jak się zdaje, parę miesięcy temu do Triszinopoli, więc fatyga, jaką zadał sobie mój przyjaciel, okazała się bezcelową. Przyznać muszę, że zawód doznany przyjął Szymon z dobrym humorem, zapewniając mnie, że cieszy się niewymownie, iż tak rychło mógł się ze mną spotkać znowu i twierdząc, że w tak odległych obcych krajach, byłoby nam najlepiej, gdybyśmy mogli trzymać się razem. Poczem rozstać się z nim musiałem.

Nie bez trudności i po dość długiem oczekiwaniu znalazłem się nareszcie w obecności pana Elihu Sandersona, o którym w domu u siebie tak często myślałem. Jeden z urzędników zarządu wprowadził mnie do jego osobistego biura. Gdy się podniósł z krzesła, żeby mnie powitać, odrazu poznałem, że mam do czynienia z synem Elihu Sandersona, wymienionego w testamencie mego ojca. Był nim w rzeczy samej. Chudy, suchy, o twarzy pokrytej zmarszczkami, o iście znamionujących zarazem spryt i silną wolę, zdawał się ważyć każde słowo, jakby każde chciał sprzedać osobno. Słowem, przedstawił mi się jako przeciętny typ Szkota — typ, od dość dawna dobrze mi znany.

— Dzień dobry panu — rzekł. — Zdaje mi się, że nienależycie dosłyszałem pańskie nazwisko.

— Trenoweth — odparłem.

— W rzeczy samej, Trenoweth! — powtórzył, i zdało mi się, że dostrzegłem w jego oczach błyskawicę zdziwienia. — Czy sądzisz pan, że odgadnę, w jakim interesie zgłaszasz się do mnie?

— Być może — odpowiedziałem — chociaż nie przysiągłbym... bo i mnie poniekąd wydaje się on nieco dziwny.

— Ach, tak! Doskonale! nieco dziwny — i zachichotał suchym śmiechem — nieco dziwny! W istocie dobrze pan powiedziałeś. Przypuszczam jednak... hę?... że pan ma przy sobie jakiś dokument... jakiś dowód świadczący, że zowiesz się Trenoweth.

Tu p. Sanderson przeszył mnie badawczym wzrokiem na wylot.

Zamiast odpowiedzieć, zabrałem się do wydobycia z ukrytej pod kamizelką bocznej kieszeni testamentu ojca i jego małej Biblii. Gdy to czyniłem, Szkot nie spuszczał ze mnie wzroku. Podałem pakiet. Uważnie przeczytał testament, przejrzał pilnie kartki Biblii, zastanowił się chwilkę, poczem rzekł:

— Sądzę, że pan tak ja rozumie, iż interes, o którym mowa, był interesem prywatnym, wiążącym zmarłego Amosa Trenoweth z moim ojcem, nie żyjącym również. Mówię to szczerze... Jakież, panie Trenoweth, nosisz imię chrzestne?

— Ezechiel.

— Zatem jesteś pan Ezechielem, wymienionym w testamencie. Powiedz mi z łaski swojej, czy masz odwagę?

Skinąłem głową potwierdzająco.

— Wybornie! Zresztą, wyglądasz na zucha. Jak to już przed chwilą wskazałem... a mówię z panem szczerze... to nie jest interes, któryby chciał przeprowadzić osobiście. Nie przedsięwziąłbym go nigdy! Lecz ojciec mój miał pewne przywidzenia... Co jest rzeczą dziwną, bo mówią, że jestem do niego podobny... Miał, powtarzam, pewne przywidzenia, a do ich liczby należała wielka życzliwość dla pańskiego ojca. Może to wynikało z nadziei zysku... bo ojciec pański, panie Trenoweth, o ile wiem, nie był... w ścisłem znaczeniu tego wyrazu... człowiekiem przyjemnym. Racz mi wybaczyć moją szczerość! Ja zaś w stosunkach ojca pana z moim nie mogłem dostrzedz żadnych zysków, chociaż bardzo sumiennie przestudyowałem papiery mojego ojca. Lecz, bądź co bądź, jest to interes familijny, lepiej zatem się stanie, jeśli nie będziemy o nim mówić w godzinach biurowych. Czy dziś wieczorem może pan zjeść ze mną obiad?

Odpowiedziałem, że z przyjemnością, lecz przedewszystkiem będę mu wielce obowiązany, jeśli mi wskaże jakie przyzwoite mieszkanie na czas mego pobytu w Bombaju.

Sanderson zastanowił się znowu, tupnął nogą w podłogę i pogłaskał swoje rude faworyty, poczem rzekł:

— Jak sądzę, interes nasz przeciągnąć się może dość późno w noc, panie Trenoweth. Zrobisz mi zatem prawdziwą przyjemność, zatrzymując się u mnie na dni parę. Jestem nie żonaty i prowadzę życie kawalerskie, co w gruncie rzeczy uważam za najlepsze. Czy podzielasz pan moje mniemanie? Hę?... Chciej zatem wysłać swoje bagaże do Craigie Cottage, przy Malabar Hill... Pierwszy lepszy przechodzień wskaże panu mieszkanie Elihu Sandersona. Postaram się ulokować pana wygodnie. Zdziwiła pana nazwa Craigie Cottage? Jest to także przywidzenie mego ojca. Był, jak ci wiadomo, Szkotem... tak jak i ja zresztą nim jestem, chociaż noga moja nie postała dotąd na szkockim gruncie, co wytwarza niezwykły fenomen: dziecka angielskiego, pomyślnie wyhodowanego w Indyach. — Lecz do licha! gadam i gadam, a to są przecie godziny biurowe. Do widzenia, panie Trenoweth! — I oczy jego znowu łysnęły błyskawicą. — Pragnąłbym bardzo, żebyś był Szkotem!

Chociaż upał dokuczał mi straszliwie, spędziłem resztę dnia na przechadzce po mieście i na zachwycaniu się jego oryginalną pięknością, aż do godziny, w której miałem stawić się w Craigie Cottage. Idąc za tragarzami, niosącemi moje bagaże, znalazłem dom łatwo. Była to wielka, obszerna willa, bogato umeblowana i zapełniona niezwykle liczną służbą, składająca się z samych murzynów, którzy wątpię, aby mieli tu dla siebie dostateczną robotę i zajęcie. Lecz to mnie nic nie obchodzi, zwłaszcza, że Sanderson nie wygląda na człowieka, wyrzucającego pieniądze przez okno, więc przypuszczam, że w ogólności wynagrodzenie sług musi tu nie być zbyt wysokie.

Sanderson przyjął mnie bardzo gościnnie. Zasiedliśmy do wykwintnej uczty, w której potrawy — jak dla mnie — były trochę za ostro przyprawione, a uwijający się wokoło stołu lokaj, drażnił poniekąd nieco moje nerwy.

Lecz, gdy po obiedzie zapaliliśmy cygara i usadowiliśmy się w wygodnych krzesłach na balkonie, patrząc na pogrążone w ciszy ogrody, na domy oświetlone, a przedewszystkiem na wspaniałą zatokę, drzemiącą w cieniach nocy, doznałem uczucia nasuwającego myśl, że w gruncie rzeczy człowiek może być u siebie wszędzie, kędy przyroda uśmiecha się doń słodko. Całem mojem jestestwem owładnął błogi spokój, pozbawiając chęci zawiązania rozmowy. Nie chciałem choćby słówkiem zamącić czaru tego miłego nastroju.

Gospodarz jednak przerwał milczenie:

— Dość długo czekałem na pana.

— Czy spodziewałeś się, że przyjdę wcześniej?

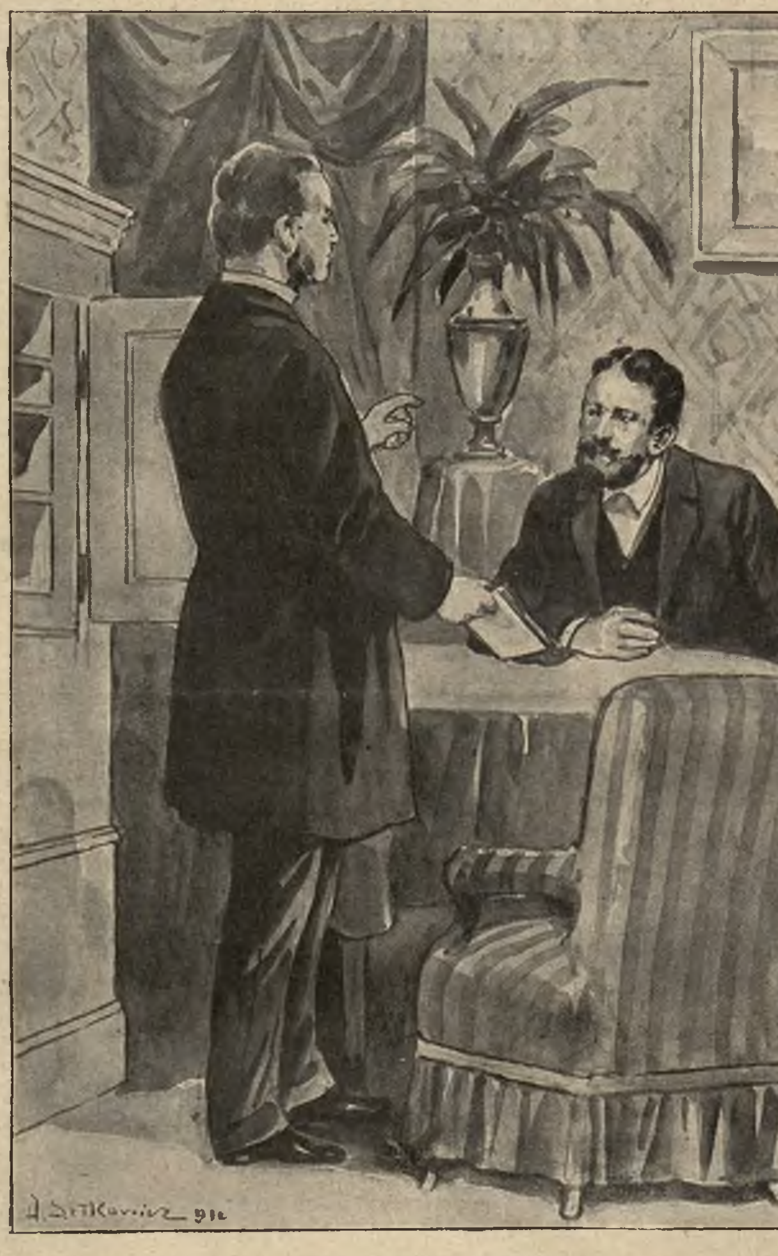
— Widzisz, zdaje mi się, że niedostatecznie zapoznałem się z testamentem twego ojca.

Jak mogłem najzwięźlej i najspieszniej wyłuszczyłem przyczyny, które skłoniły mnie do opuszczenia Lantrig. Wysłuchał mnie w milczeniu i dopiero po chwili namysłu przemówił:

— Więc nie lekkomyślnie zaangażowałeś się w to przedsięwzięcie?

— Czy co zyskam, czy nic nie wskóram, zapewniam pana wobec Boga, który mnie słyszy, że dopiero przyciśnięty wielką potrzebą, postanowiłem zająć się niem czynnie.

— Sądzę — odpowiedział, cedząc wyrazy — że coś z tego będzie! Ojciec mój miewał przywidzenia, to prawda, lecz nie był głupcem. Nigdy nie mówił ze mną o tym interesie, dał mi jednak do zrozumienia równie w swoim testemencie, jak w swoich ostatnich rozporządzeniach, jak mam zachować się względem niego w momencie właściwym. Dla mnie jest rzeczą ciekawą, że obaj ojcowie nasi dopiero pod koniec życia zwrócili myśli swoje ku religii, jako opiekunki i pocieszycielki. Jeśli pogłoski, obie-



— ...i podał mi dwie koperty.

gające w swoim czasie, miały jakieś znaczenie, to ojciec pański nie bez przyczyny żałował za grzechy i kajał się za popełnione winy, lecz że mój, otoczony powszechnym szacunkiem urzędnik Kompanii Indyjskiej, potrzebował rozgrzeszenia, tego pojąć nie mogę. To dla mnie jest rzeczą zupełnie niejasną. Może to był jakiś nieznany mi rodzaj egoizmu. Bo przyzna pan — ciągnął dalej, tonem człowieka pogrążonego w rozmyślaniu — że ci dwaj ludzie tworzyli dziwną i nienaturalną asocyacyę. Lecz pozostawmy ich w spokoju. Uczynię lepiej, oddając ci to, co mi powierzono, a wtedy może zdołasz sobie wytworzyć sam zrozumialsze i pełniejsze o tem wszystkiem przekonanie.

To mówiąc, powstał z miejsca i wszedł do oświetlonego pokoju, ja zaś podążyłem za nim.

Wydobywszy pęk kluczy z kieszeni, otworzył ciężką, z ciemnego drzewa szafę, ozdobioną głęboko wycinanemi rzeźbami. Stała w jednym z kątów obszernej komnaty. Wyjął z niej cały stos pudełek cynowych, ogromne pliki papierów, oraz kilka grubych ksiąg handlowych. Gdzieś dopiero w głębi, na spodzie, znalazł pudełko, którego szukał. Wówczas włożył starannie wszystko, co wyjął poprzednio, na swoje miejsce, zamknął szafę i szukać zaczął, w pęku kluczy, kluczyka od pudełka. Otworzył je i podał mi dwie koperty, jedną większą od drugiej, obie jednak spore.

Teraz, kochana Margery, w chwili, gdy dłoń moja spoczęła na tajemnicy, nad którą spędzaliśmy nieraz całe godziny, pogrążeni w głębokich i niepokojących rozmyślaniach — tajemnicy, która spowodowała rozłączenie się nasze, dla obojga tak bolesne — nie mogłem powstrzymać się od wyszeptania pocichu modlitwy, błagającej Boga, by mi dozwolił żonę moją i dziecko wybawić z kłopotów, oraz opromienić nowym blaskiem rodowe nasze nazwisko. Nie wątpię, droga małżonko, że i ty w owej chwili modliłaś się za mnie na klęczkach. Chociaż błaganie moje nie brzmiało głośno, dławiłem je bowiem w głębi duszy, Sanderson musiał myśl moją zrozumieć, bo posłyszałem jak mruknął: „Amen!"

Na mniejszej kopercie, zapieczętowanej lakiem czarnym, nie było wcale adresu; zawierała zaś w sobie pięćdziesiąt funtów sterlingów w biletach bankowych. Nie znalazłem przy nich ani listu, ani informacyi, na co ta kwota ma być użytą.

Na większej kopercie był wypisany ręką mego ojca adres następujący:

Synowi mego rodu, który zajrzawszy wszelkim niebezpieczeństwom w oczy, postanowił stawić im czoło.

N. B. Spalić w sto lat od daty dzisiejszej, 4 maja MDCCCV roku pańskiego.

I ta koperta zapieczętowana była również lakiem czarnym i zawierała w sobie rękopis, który przypinam szpilką do mego dziennika.

— — — — — — — — —

Wujaszek — który dotąd czytał wszystko, nie czyniąc wcale komentarzy, tylko kiedy niekiedy przerywał lekturę głośnym wykrzyknikiem — odwrócił kartkę i wyjął z pod niej pergamin, zapełniony ścisłem, lecz już nieco spłowiałem pismem mego dziada, Amosa Trenoweth. Niemal bezwiednie pochyliliśmy się obaj nad tą relikwią rodzinną, a wuj — również bez komentarzy — zaczął czytać dalej co następuje.

— — — — — — — — —

„Od Amosa Trenoweth z Lantrig, parafia Polkimbra, hrabstwo Cornwailles, do potomka, który będzie mógł odziedziczyć moją fortunę.

„Wiedz o tem synu, że w pergaminie tym mówi się o wielkich i znakomitych bogactwach, których zdaje się tylko zapragnąć należy, aby je posiąść, gdy tymczasem nie ulega wcale wątpliwości, że niebezpieczeństwa grążące rzekomemu zdobywcy tego przeklętego skarbu są tak straszne, że jestem prawie zdecydowany wyrzec się o nim świadomości i następnie jak żebrak zejść do grobu. Nietylko mniemam, lecz jestem bezwzględnie pewny, że bez rozlewu krwi i utraty życia ludzkiego nie można będzie zeń korzystać, bo ja sam trzykrotnie spoglądałem śmierci w oczy, zanim go ręką dotknąłem i za każdym razem ocalony zostałem jakby cudem i za cenę utraty spokoju mojej duszy. Jednakowoż zważywszy, że gniew Niebios jest chyży i nie mści się nieslusznie, postanowiłem nie zabrać go sobie w całości, lecz jeno w małej części, wyrzekając się sam najcenniejszego skarbu, aby tym sposobem złagodzić moc przekleństwa i pozostawić pozyskanie go przedsiębiorczości kogo innego, któremu to się udać może w celu podniesienia dostojeństwa i znaczenia upadającego rodu.

„Ciebie więc, synu, który odezwę moją odczytasz, błagam, abyś się głęboko zastanowił nad niebezpieczeństwami onej sprawy, chociaż nic o nich nie wiesz. Lecz ja je znam dobrze, przeżyłem bowiem cały żywot grzesznika dla miłości bogactw owych, a obecnie znajduję w nich jeno gorzki smak owoców Gomorry. Co do reszty, tajemnica moja znaną jest Bogu, ja zaś pozostaję pełen pokornej nadziei, że otrzymam jego przebaczenie, lecz jeszcze nie zaraz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielki pożar w Konstantynopolu.

Olbrzymi pożar, jaki przed niedawnym czasem spustoszył Konstantynopol, należał do największych, jakie kiedykolwiek nawiedziły stolicę państwa Ottomańskiego. Pastwą ognia padło kilka dzielnic, zamieszkałych przeważnie przez ludność turecką, a spustoszenie ogarnęło najstarsze części miasta, mianowicie plac sułtana Bajazeta, dawny Seraj i wielki Bazar. W przestrzeni ograniczonej tymi gmachami spłonęło kilka tysięcy domów.

Rycina nasza przedstawia obchód komisyi, wydelegowanej przez rząd dla zbadania rozmiarów klęski spowodowanej pożarem. Komisya obchodzi plac sułtana Bajazeta.



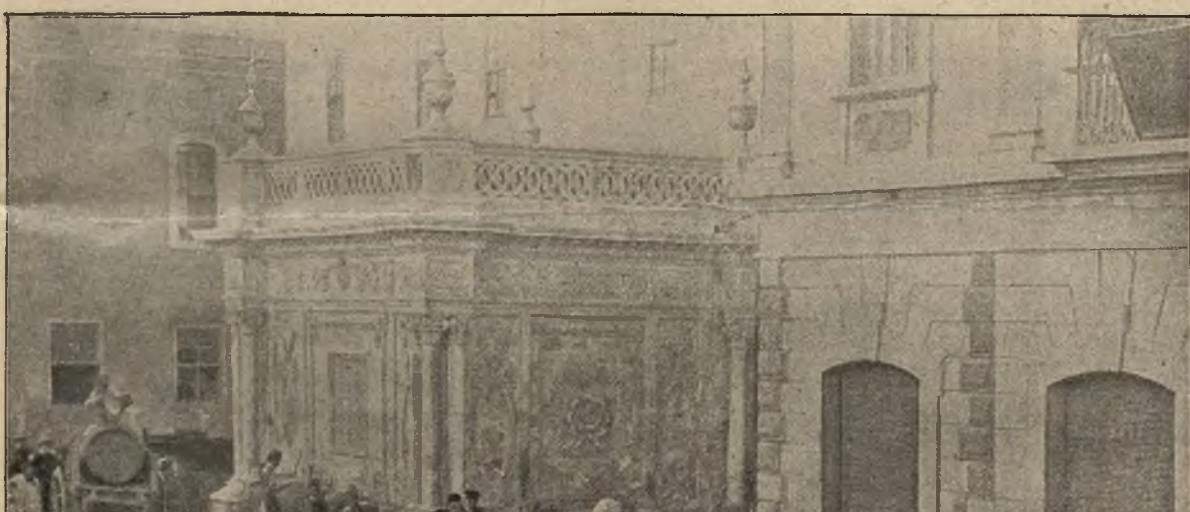
Wielki pożar w Konstantynopolu: Komisya rządowa, badająca rozmiary klęski na placu sułtana Bajazeta.

Pogromiciel prasy polskiej.

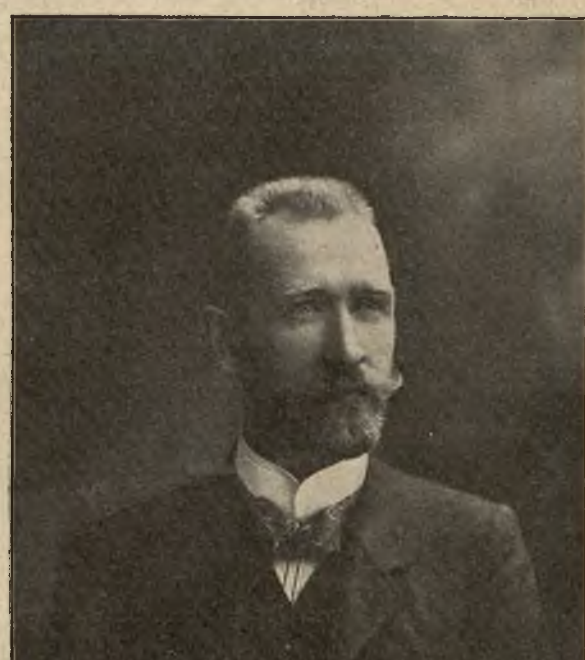
Opinię publiczną Warszawy zajmuje od dłuższego czasu oryginalny zatarg, jaki wybuchł pomiędzy Towarzystwem literatów i dziennikarzy warszawskich, a Stowarzyszeniem techników, następstwem którego jest długa polemika w prasie warszawskiej i szereg posiedzeń zarządu obu stowarzyszeń, na których omawianą jest sprawa owego zatargu i środki zmierzające do jego załagodzenia. Niestety, w ostatnich dniach, pomimo pojednawczych usiłowań w łonie zarządu obu instytucyi, sprawa przybrała formy tak ostre, skutkiem nietaktownego wystąpienia zarządu Stow. techników, że prasa warszawska uznała za stosowne w odezwie ogłoszonej publicznie zastosować bojkot względem Stow. techników i wszelkich z inicyatywy tego stowarzyszenia i w jego lokalu podejmowanych spraw.

Geneza sprawy jest następująca. W dniu 12-go września b. r. na posiedzeniu warszawskiego Stowarzyszenia techników, zwołanem w sprawie zmniejszenia liczby świąt, prezes tego stowarzyszenia, p. Piotr Drzewiecki, uzasadniając pominięcie zaproszenia sprawozdawców prasy na to posiedzenie, odezwał się o nich w sposób wysoce niewłaściwy i obrażający. Ponieważ niektóre z pism wyrażenie p. Drzewieckiego powtórzyły dosłownie, a p. Drzewiecki żadnego w tej kwestyi sprostowania ani wyjaśnienia nie ogłosił, zarząd „Towarz. literatów i dziennikarzy warszawskich“ wystosował do p. Drzewieckiego list z zapytaniem, czy sprawozdanie owo zgadza się z prawdą. P. Drzewiecki na list ten zgoła nie odpowiedział, wobec czego Tow. dziennikarzy i literatów ogłosiło odezwę, piętnującą zachowanie się p. Drzewieckiego i zakończoną słowami, „że podobne antikulturalne obyczaje bez dotkliwej szkody społecznej tolerowane być nie mogą“.

Odezwą tą uczuło się dotkniętem „Stowarzyszenie techników“ i w odpowiedzi na nią powzięło uchwałę, solidaryzującą się ze stanowiskiem prezesa i przeszło do porządku dziennego nad sprawą zatargu.



Okrucieństwa włoskie: Pojmani Arabowie pod eskortą żołnierzy włoskich.



Pogromiciel prasy polskiej: Piotr Drzewiecki, prezes warszawskiego Stowarzyszenia Techników, „bohater“ zatargu z prasą polską w Warszawie.

Na takie „dictum“ pewna część prasy warszawskiej zajęła stanowisko wrogie wobec Stowarzyszenia techników i w wykonaniu poprzedniej uchwały Tow. dziennikarskiego postanowiła utrzymać w mocy zapowiedziany bojkot Stow. techników, a zarazem zareagować zasadniczo przeciw tego rodzaju uchwale, niczem nie umotywowanej, a wzmacniającej obelgę rzuconą prasie warszawskiej przez p. Drzewieckiego. Dzięki tej sprawie jest p. Drzewiecki w chwili obecnej „bohaterem“ dnia w Warszawie.



Okrucieństwa włoskie: Zwłoki Arabów, pomordowanych w oazie Trypolisu.

Okrucieństwa włoskie.

Włosi w Trypolitanii po łatwych „zwycięstwach" na morzu, ponoszą wciąż na lądzie sromotne klęski. Armia turecka, zasilona wojowniczemi plemionami arabskiemi, choć mniej liczna i gorzej uzbrojona, wyparła Włochów z zajętych już pozycyi w odległości 25 klm. od wybrzeża i zmusiła do cofnięcia się w mury miast portowych — pod osłonę dział okrętowych. Za te klęski Włosi mszczą się na bezbronnej ludności Trypolisu, mordując nawet kobiety i dzieci.

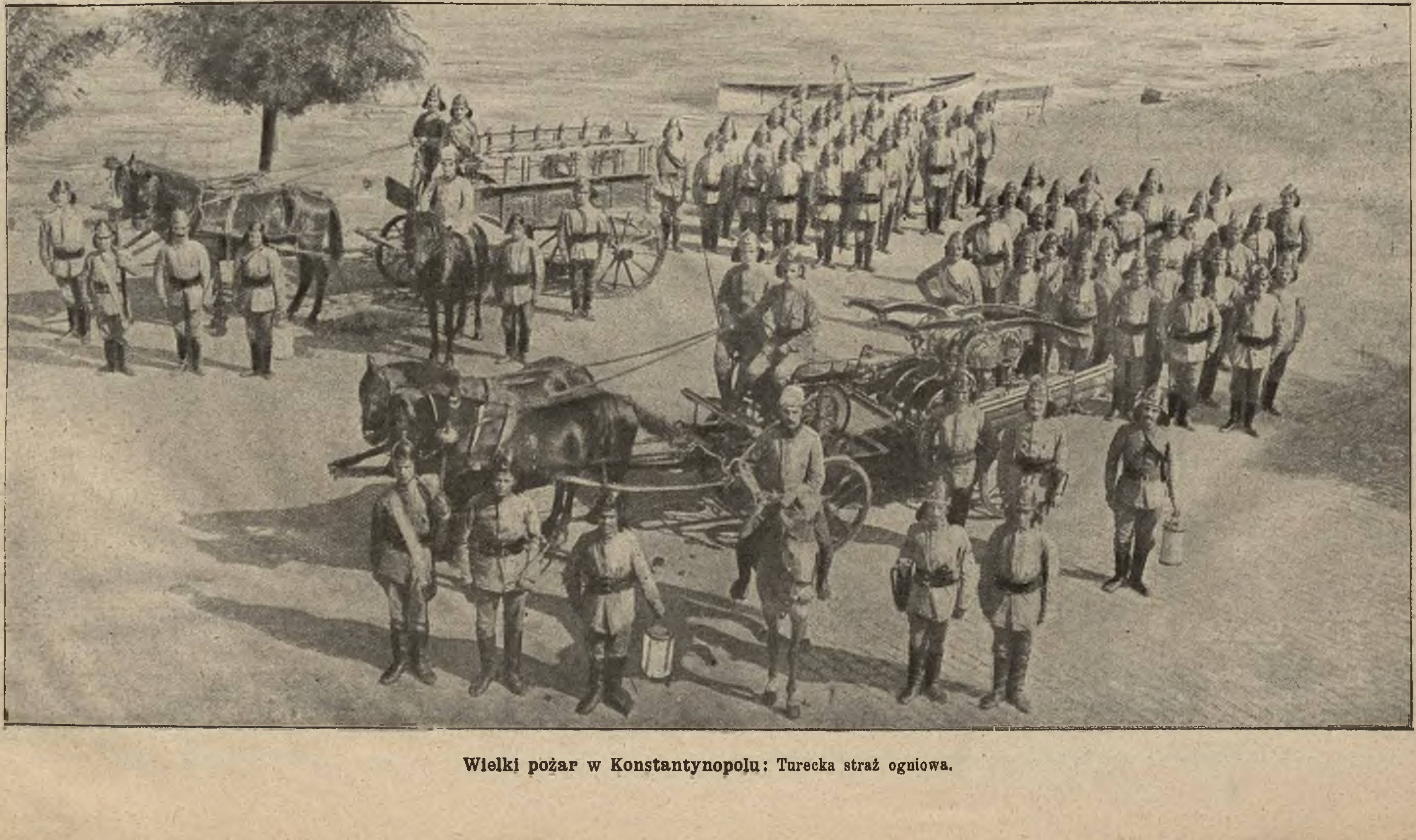
Korespondenci angielscy, francuscy i niemieccy jednozgodnie donoszą o niesłychanych okrucieństwach, jakich dopuszczają się żołnierze włoscy w Trypolisie. Przedewszystkiem Włosi podeptali przepisy konwencyi o prowadzeniu wojny, nie uważając Arabów za stronę wojującą, lecz za „powstańców", którzy zbuntowali się przeciw prawowitej władzy. I z tymi powstańcami arabskimi robią straszny porachunek. Sądy wojenne skazują setkami Arabów na śmierć, a egzekucye wykonywane są natychmiast.



Okrucieństwa włoskie: Przenoszenie rannych w Benghazi.

Ale jak się okazuje, nie na tem kończą się okrucieństwa włoskie w Trypolisie. Wojsko włoskie, rozjuszone niepowodzeniami w bitwach, urządza potworne rzezie wśród bezbronnej ludności Trypolisu. Żołnierze włoscy strzelają bez powodu do starców, kobiet i dzieci, jak do celu. Doniesienia korespondentów angielskich, Granta i Davisa, którzy złożyli zaprzysiężone zeznania konsulowi Wielkiej Brytanii w Trypolisie, podają cały szereg okrucieństw, których byli świadkami. W jednem miejscu zastrzelono kobietę płaczącą nad zwłokami męża, w innem — troje bawiących się dzieci arabskich, to znowu patrol włoski strzelał do każdego spotkanego na ulicy Araba i t. d. Te pojedyncze epizody okrucieństwa żołnierzy włoskich bledną jednak wobec masowych mordów i rzezi, dokonywanych przez oddziały wojskowe pod dowództem oficerów. Korespondent „Timesa" daje wstrząsający obraz tych mordów. „Gdyśmy opuścili miasto — pisze w swej relacyi — tuż za bramami Trypolisu natknęliśmy się na grupę około 70 mężczyzn i chłopców, bez żadnego sądu rozstrzelanych. Większość ich schwytano bez broni, a wymordowano na rozkaz dowodzącego oficera. Dalej o kilka kroków leżała kupa ciał we wszystkich możliwych pozycyach, jak je śmierć od kuli zaskoczyła. Nie wszyscy jednak zginęli od kul. Wiele ciał wskazywało, że rannych dobijano bagnetami i kolbami. Na bocznych ścieżkach — kończy swą relacyę korespondent — leżały postrzelone ciała, pojedynczo lub grupami. Domy poburzone, mieszkańcy wymordowani lub wyciągnięci na pole i wymordowani".

O strasznie jszych jeszcze okrucieństwach, bo znęcaniu się nad kobietami i dziećmi, donosi pewien oficer angielski, który wstą-



Wielki pożar w Konstantynopolu: Turecka straż ogniowa.

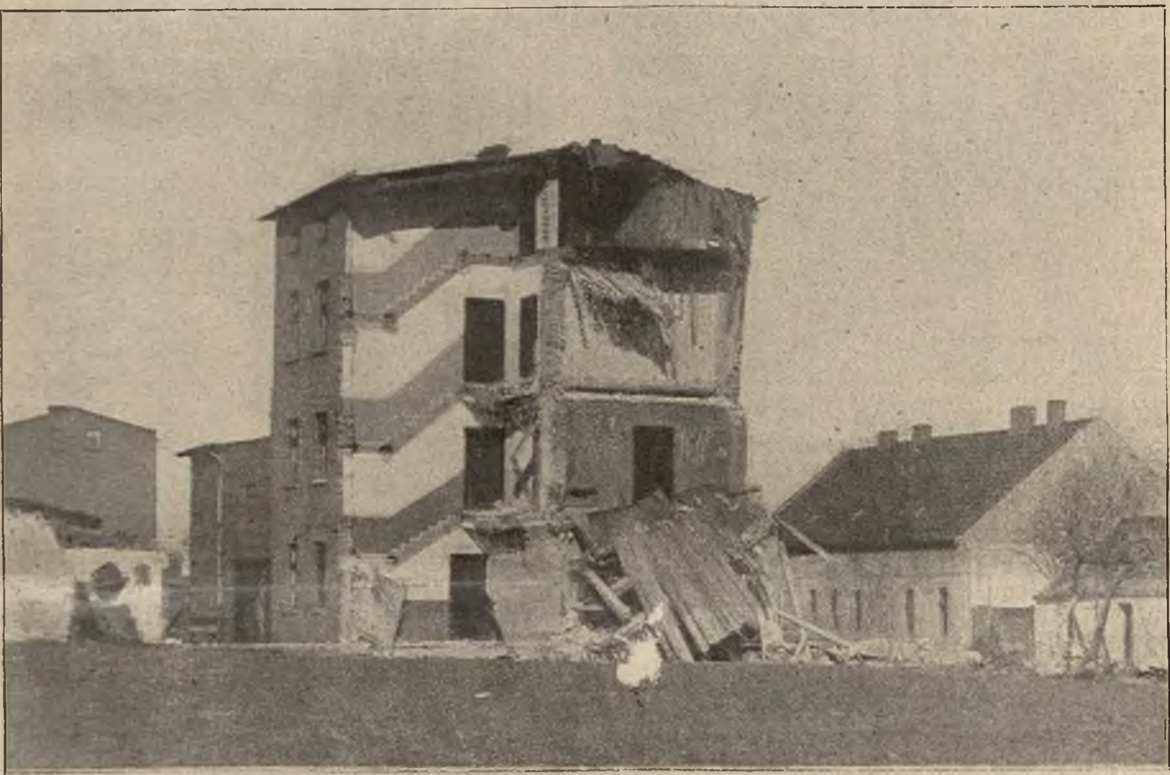
pił jako ochotnik do armii tureckiej w Trypolisie. „Wszedłszy do domów, z których wygnaliśmy Włochów — telegrafuje on do dzienników angielskich — znaleźliśmy tam trupy 120 kobiet i dzieci arabskich ze skrępowanemi nogami i rękami, ohydnie pokaleczone i pocięte. Nieco później przyszliśmy do meczetu, gdzie oczom naszym przedstawił się straszny obraz: zwał kilkuset trupów kobiet i dzieci, zmasakrowanych do niepoznania".

Powyższe relacye, niewątpliwie wiarygodne, rzucają potworne światło na barbarzyński sposób prowadzenia wojny przez Włochów. Wprawdzie żadna wojna nie jest sielanką, tembardziej przy obecnych udoskonaleniach śmiercionośnej techniki, ale wobec strasznego żniwa morderczych bitew, cywilizacya i poczucie humanitarne nakazują unikania przynajmniej bezcelowego okrucieństwa. To też wszystkie państwa przystąpiły do międzynarodowej konwencyi, zakazującej podczas wojny znęcania się nad jeńcami i gwarantującej ludności możliwe bezpieczeństwo.

Ale Włochy w obecnej wojnie pogwałciły w brutalny sposób nawet te granice, nakreślone sumieniem i prawami cywilizacyi.



Zapadające się miasto: Dom w Inowrocławiu po pierwszem zapadnięciu się narożnika.



Zapadające się miasto: Pozostała część domu w Inowrocławiu po katastrofie.

Zapadające się miasto.

Walące się domy (oczywiście nowobudowane) są w obecnych czasach pośpiechu i spekulacyi zjawiskiem niemal codziennem. Widownią rzadkiej jednak katastrofy stał się już dwukrotnie Inowrocław w Poznańskiem. Przed dwoma laty, w Wielki Piątek, zawalił się tam portal nowowybudowanego kościoła w sposób najzupełniej niezwykły, bo zapadł się pod ziemię w dosłownem znaczeniu tego słowa: zawalona część budynku znikła doszczętnie w otchłani podziemnej.

Podobna katastrofa wydarzyła się znów w Inowrocławiu przed kilku dniami. Część domu na ulicy Oliwer, znajdującego w odległości kilkuset kroków od miejsca pierwszej katastrofy, runęła i znikła pod ziemią. Najpierw zawaliła się przybudówka domu. Gdy chmura kurzu opadła, okazało się gołe wnętrze domu. Niebawem zaś połowa budynku runęła z hukiem w otwierającą się otchłań. Gruz i całe urządzenie domu znikło pod ziemią.

Z ludzi nikt na szczęście nie stracił życia, ponieważ przed katastrofą spostrzeżono niebezpieczne rysy na murach, wobec czego mieszkańcy zdołali dom zawczasu opuścić, lecz całe wewnętrzne urządzenie mieszkań znikło w głębi ziemi.

Ostatnia katastrofa zaniepokoiła w wysokim stopniu ludność Inowrocławia. Jest bowiem rzeczą możliwą, że to niebywałe zapadanie się i znikanie pod ziemią domów może tam jeszcze się powtórzyć, ponieważ katastrofę spowodowały olbrzymie, rozciągające się pod miastem kopalnie soli, obecnie zalane wodą... Stwarza to istotnie dla Inowrocławia wielkie niebezpieczeństwo.

Z niwy społeczno-oświatowej.

Z pośród wsi galicyjskich, w których życie społeczno-oświatowe rozwija się w niezmiernie szybkim tempie, pierwsze miejsce zajmuje niewątpliwie wieś Łoniowy w pow. Brzeskim. Przed rokiem wybudowano już tam nawet Dom Ludowy, gdzie znalazły pomieszczenie liczne stowarzyszenia, które, obok Kółka rolniczego, powstały w tej wsi w ciągu niespełna 3 lat, dzięki energicznej pracy prezesa miejscowego Kółka rolniczego, p. Stanisława Jasińskiego. W tak krótkim czasie powstała w Łoniowach straż ogniowa, która obok ćwiczeń praktycznych urządza wykłady o pożarnictwie, spółka udziałowa piekarska oraz spółka zbytu jej i drobiu, dalej czytelnia, posiadająca już 500 tomów i kilkanaście czasopism, a Dom ludowy stał się ogniskiem, w którem odbywają się stale wykłady, wiece oświatowe, pogadanki i zabawy ludowe, zimą zaś mają być tam zorganizowane kursa dla analfabetów. Jest to istotnie na polu pracy społeczno-oświatowej plon bardzo obfity, a przytem rokujący dalszy pomyślny w tym kierunku postęp.

Ilustracya nasza przedstawia grupę członków straży ogniowej z naczelnikiem i prezesem Kółka rolniczego, p. Stanisławem Jasińskim, przed Domem ludowym w Łoniowach.

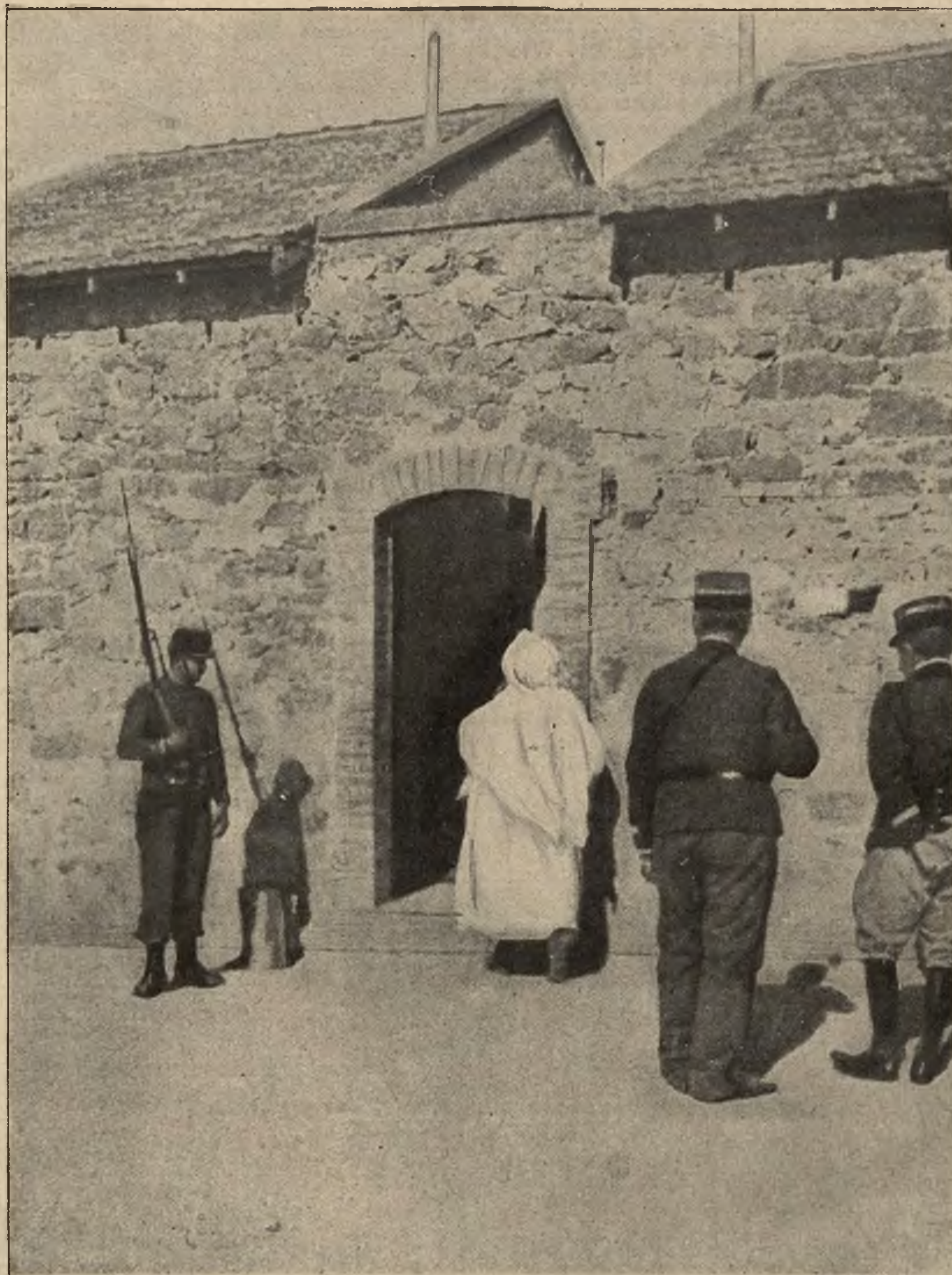


Z niwy społeczno-oświatowej: Ochotnicza straż ogniowa z naczelnikiem p. Stanisławem Jasińskim (X) przed Domem ludowym w Łoniowach.

Aresztowanie francuskich wojskowych w Oudży.

W prasie francuskiej wielkie wrażenie wywołała wiadomość, że generał Tontée, naczelny dowódca ekspedycyi francusko marokańskiej, wydał rozkaz aresztowania w Oudży francuskiego komisarza rządowego M. Destailleura, p. M. Lorgeou wicekonsula francuskiego i kapitana straży celnej Pandori. Oprócz tych trzech Francuzów aresztowany został także sędzia miejscowy (cadi) Mohamed ben Nacer pasza, sekretarz M. Destailleura.

Wedle nadeszłych wiadomości, dotąd nie wyjaśnionych w szczegółach, chodzi tu o jakieś grube nadużycia, popełnione przez tych dygnitarzy. Mówią o kontrabandzie broni na rzecz plemienia Rif, mówią także o niedozwolonych spekulacyach gruntami rządowymi i t. p. Generał Tontèe wyjechał w tej sprawie z Oranu do Oudży.



Aresztowanie francuskich wojskowych w Oudży: Wejście do więzienia w Ondży, gdzie osadzono aresztowanych urzędników francuskich.

Rekord automobilowy.

Niezwykłego rekordu automobilowego dokonał w ubiegłym tygodniu jeden z najruchliwszych sportsmenów ze świata arystokracyi polskiej, Waldemar hr. Tyszkiewicz. Zawołany ten automobilista przebył przestrzeń od Grenobli do Petersburga (via Paryż i Berlin), wynosząca 4000 wiorst w 100 godzin. Hr. Tyszkiewiczowi towarzyszyła w tej karkołomnej podróży małżonka.

Ilustracya nasza przedstawia chwilę przybycia hrabstwa Tyszkiewiczów do Petersburga.

Wyprawa po złote laury.

Jakkolwiek Zbyszko-Cyganiewicz nie może uskarżać się na brak uznania w kraju, nigdzie z pewnością nie spotkał się z takimi objawami entuzyazmu, jak podczas swej ostatniej podróży po Ameryce. Turnieje atletyczne, w których uczestniczył i zwyciężał, odbywały się przy olbrzymim napływie publiczności, która polskiego championa obsypała złotemi laurami w dosłownem znaczeniu tego słowa, bo oprócz platonicznych objawów sympatyi, nie poskąpiła mu również i... dolarów. W swym poprzednim tryumfalnym pochodzie po różnych miastach amerykańskich — Cyganiewicz uległ jednak słynnemu Gotschowi, który w walce „catch as catch can" (chwytaj jak chcesz) nie miał dotychczas współzawodnika. Obecnie Zbyszko, po długim treningu w tego rodzaju zapasach atletycznych, postanowił ponownie zmierzyć się z Gotschem i w tym celu udał się znów do Ameryki. Czy pokona swego przeciwnika — trudno dziś przesądzać, zwłaszcza, że, jak słychać, Gotsch nie ma bynamniej ochoty spotkać się ponownie ze Zbyszkiem. Nie ulega jednak wątpliwości, że w każdym razie Ameryka nie poskąpi znów Cyganiewiczowi złotych, a mówiąc ściśle brzęczących i szeleszczących laurów.



Rekord automobilowy: Hr. Waldemar Tyszkiewicz (w pudle) z małżonką (obok szofera) w chwili przybycia do Petersburga, dokąd przyjechali z Grenobli (przestrzeń 4000 wiorst) w ciągu 100 godzin.



Wyprawa po złote laury: Zbyszko-Cyganiewicz (po prawej stronie) na okręcie w drodze do Ameryki.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

17 **Powieść.**

— Nie trzeba nosić tej sukni — rzekł. — Czarna, brzydka!

Pani Manescault odpowiedziała:

— Muszę ją jednak nosić rok jeszcze.

— Dlaczego?

— Bo taki zwyczaj.

Jakób zachichotał gorzkim, niemal ironicznym śmiechem.

— A tak! tak!... żałoba! — wyjąkał.

Poczem nagle zaczął nucić wesoło i przechadzać się niezmiernie szybko tu i tam po pokoju.

Julia go przywołała:

— Chodź-że ścierać kurze!... Jaki teraz leniuch z ciebie!... To doktor Jintot tak cię popsuł!

Jakób zbliżył się żwawo.

— Kocham bardzo doktora. Dobry jest dla mnie, daje mi książki do czytania.

— To też chętniej pracujesz dla niego, niż dla mnie.

On odparł z gwałtownym wybuchem tkliwości:

— Nie!... Cieszę się bardzo... bardzo, że jestem przy pani!... Wszakże teraz wzywać mnie będziesz częściej do pomocy?

— Tak... może.

— To dobrze... bo ja mam pani dużo do powiedzenia...

— Mów!

Z miną tajemniczą poruszył głową.

— Nie teraz!

I w moment potem wybełkotał z dziwnym jakimś śmiechem:

— Wtedy, gdy już nie będziesz mieć na sobie czarnej sukni.

— Jeśli powiesz, co chciałeś powiedzieć, to gotowa jestem zrzucić ją zaraz — rzekła pani Manescault, udając wesołość.

Nie odpowiedział. Przykląkł i pewien czas zatopił się cały w bardzo sumiennem oczyszczaniu jednej z nóg u biurka.

Poczem powstał nagle i roześmiał się głośno.

— Słuchaj! — zawołał. — Czy to prawda, że chcesz być moją przyjaciółką?

— Przecież, mój Jakóbku, byłam nią zawsze.

Poruszył głową z smutnym wyrazem w oczach.

— Nie!... nie!... Dawniej, tak... Lecz potem napędziłaś mnie... i nigdy więcej nie wołałaś...

— Wszakże, zamiast mnie, miałeś doktora Jintota.

— To nie to samo...

Urwał nagle to, co dalej miał mówić i po chwili, wracając do jednej z poprzednich swych myśli, szepnął gorączkowo:

— Powiem pani... ale to sekret!

— Dobrze... powiedz.

Wybuchnął znowu śmiechem:

— Chcę się ożenić!

— A!... Z kim?

Kiwał głową.

— Sekret!... sekret! — wybełkotał.

Poczem rzekł z dumną miną i tonem poufałym:

— Mogę teraz wybierać... Jestem królem!

Pani Manescault żachnęła się, przejęta niepokojem. Zauważyła znacznie większy niż niegdyś brak związku w tem, co obecnie mówił Jakóbek.

Jednakże nie opierała mu się, gdy ją delikatnie wziął za rękę i przyciągnął do okna.

— Nie powiesz nikomu?... Przysięgnij! — zawołał.

Ona, udając, że się uśmiecha, szepnęła:

— Przysięgam!

Wówczas chłopak, rozpiął na sobie kamizelkę, rozsunął nieco koszulę i z poza niej wyciągnął nieduży pakiecik, starannie owinięty, wiszący na tasiemce, opasującej mu szyję.

— Co to jest? — zapytała Julia z ciekawością.

Jakóbek ostrożnie odchylił boki zwitka i wysunął zeń ćwiartkę pergaminu, z tekstem drukowanym, o literach czerwonych, zielonych i czarnych, z illustracyami drzeworytowemi — wyobrażającemi bardzo skomplikowane przedmioty. Przy pergaminie wisiała zielona wstęga z mory jedwabnej, trzymająca się na dwóch w laku czerwonym wyciśniętych pieczątkach.

Młody człowiek spoglądał na to wszystko z czcią, pełną wzruszenia.

Podniósł pergamin do ust i złożył na nim pocałunek, poczem wybełkotał:

— To mój dyplom... dyplom na króla... Przecie pani widzi...

— A!... Czyż naprawdę? — rzekła Julia.

I przyglądała się pergaminowi, przyozdobionemu koroną królewską o złotym wycisku i zadrukowanemu tekstem w języku portugalskim. Całość wydawała się patentem, jaki dołączany bywa do orderów mocarstw zagranicznych.

Nagle zatrzęsła się całem ciałem.

W pośród druku, ujrzała ręką ludzką wypisane wielkiemi literami imię i nazwisko: E m a n u e l L a b o r d a.

— Kto ci dał ten pergamin? — zapytała, wyciągając po patent rękę.

Lecz Jakób, jakby zaniepokojony, usunął się raptownie na bok.

— Nie trzeba tego dotykać! — rzekł poważnie. — To rzecz bardzo cenna!

Jak tylko mógł najspieszniej i najostrożniej, zawinął pergamin na nowo i wsunął na pierś za koszulę.

— Jakóbie! — przemówiła pani Manescault głosem słodkim, lecz bardzo stanowczym — musisz mi powiedzieć koniecznie, kto ci dał ten dyplom... bo jak nie powiesz, nie będę cię kochać!

On wziął rękę Julii, poniósł ją do ust, i złożył na niej niezgrabnie pełen szacunku pocałunek.

— Obecnie, gdy jestem królem — rzekł tonem pełnym niemal dziewiczej ufności — zechcesz niezawodnie wyjść za mnie. Nieprawdaż?

Serce w piersi pani Manescault kołatało z niesłychaną mocą. Przejmował ją lęk niewypowiedziany, a równocześnie czuła, że wstąpiła na ślady tajemniczego tropu.

Jakóbek tymczasem odezwał się znowu błagalnym głosem:

— Czy chcesz mię poślubić?

Ona zdobyła się na odwagę i prawie spokojnie odparła:

— Gdybym miała zostać twoją żoną, musiałabym cię kochać, a ja kochać będę tylko tego, który mi wyzna wszystko, który odpowiadać będzie szczerze na wszystkie moje pytania!

Cofnął się nieco w tył. Jakiś ponury cień przemknął po jego twarzy.

— Wszystko ci powiedzieć? — wyszeptał łamiącym się głosem. — Nie!... Nie mogę wszystkiego powiedzieć... bo przestraszyłabyś się bardzo...

Pani Manescault poruszyła się tak, jakby chciała się oddalić.

— W takim razie nie będę mogła cię kochać.

Chrapliwy krzyk wyrwał mu się z piersi, poskoczył naprzód, stanął przed nią i zagrodził jej drogę.

— Nie odchodź!... Pozostań ze mną!... Nie chcę cię już nigdy opuścić!...

Julia, wobec owładającej nią strasznej obawy, wytężyła wszystkie siły ducha, aby nie uciec. Bo w istocie można było przerazić się tego wielkiego, bladego chłopca, o źrenicach jasno-niebieskich, pozornie jakby pustych i bezmyślnych, a jednak szczególnie błyszczących.

— Bądź łagodnym i uległym — rzekła — a wtedy pozostanę. Jeśli nie uczynisz zadość mojej prośbie, będę przekonaną, że mnie nie kochasz.

Roześmiał się śmiechem dziecięcym i podszedł do sekretarzyka.

— Czekaj-że minutkę... niech ci coś naprzód pokażę — powiedział prawie wesoło.

Ze zdziwieniem ujrzała Julia, jak z kieszonki od kamizelki wyjął kluczyk i otworzył nim naprzód szufladę górną, potem dolną szafkę w starym mebelku.

— Jakto? — zawołała. — Masz klucz od sekretarzyka?... Jakżeś go dostał?...

Znowu roześmiał się głośno, spojrzał na nią wzrokiem tryumfatora i cedząc wyrazy przez zęby, bo wymawianie niektórych zgłosek było dlań niezmiernie trudne, wyjąkał powoli:

— Ja wszystko otwieram!... Wszędzie!... Ho, ho! niedołęgi, głupcy, żartują sobie z Jakóbka... lecz Jakóbek na żarty nie zważa... udaje, że nie słyszy... a wie wszystko... co chce zrobić może... bo Jakóbek król!...

Przestał mówić raptownie, wysunął szufladę i wyjął z niej kartę albumową z fotograficznym Julii portretem.

— Widzisz! — powiedział — codziennie, gdy nikogo nie było w pokoju, przychodziłem tu patrzeć się na ciebie...

I zmienionym, słodkim, pieszczotliwym głosem, dodał z wyrzutem:

— Złośliwa!... Napędziłaś swego przyjaciela... a on był bardzo nieszczęśliwy!

Poczem nagle, śmiałym ruchem ręki wsunął fotografię do bocznej kieszeni tużurka.

— Zabieram ją! — oświadczył. — Do mnie należy!... ponieważ jesteś moją żoną!

Julia, głęboko przekonana, że nadszedł moment, w którym można rozpocząć badanie, położyła rękę na ramieniu Jakóbka.

— Chodź! — rzekła nieco drżącym głosem. — Usiądź... i słuchaj mnie!

Podniósł na nią oczy powoli, a ona spojrzała w nie z całą bystrością, na jaką zdobyć się zdołała. Wargi jego zadrgały, nie odpowiedział jednak ani słowa, tylko pokonany, poszedł za nią. Posadziła go obok siebie, na stojącej w jednym z rogów pokoju kanapie i trzymając go ciągle za ramię, z oczami w niego wlepionemi, rzekła, starając się przemawiać niemal groźnie:

— Kto ci dał pergamin?... Czy doktor Jintot?

Pochylił głowę.

Dziwnie złośliwy wyraz przybrała twarz jego na chwilę.

— Nie! — odparł chrapliwym głosem.

— Więc kto?

W sposób, nie określający co myśli, poruszył głową. Julia powtórzyła pytanie głośniej, z większym naciskiem:

— Kto?... Powiedz mi... Chcę wiedzieć!

Odpowiedział z trudnością:

— Nikt!... Sam wziąłem.

— Gdzie?

Próbował wysunąć ramię z pod przytrzymującej go ręki pani Manescault.

— Nie wiem! — wyrzucił z gardła ochrypliwym tonem, widocznie bowiem trwał w zamiarze niemówienia.

Julia złagodziła nieco dźwięk swego głosu.

— Żeby mi zrobić przyjemność... jeśli chcesz, żebym cię kochała... trzeba mi odpowiadać grzecznie.

Zdawało się, że w mózgu jego budzą się jakieś odległe wspomnienia i tajemnicze zgryzoty. Tkliwość tonu, jakim do niego przemawiała młoda kobieta, wzruszyła go.

— Chcę, żebyś mnie kochała, więc powiem ci wszystko — przyrzekał, jąkając się, prawie niezrozumiałym głosem.

Ona przysunęła się do niego i pytała z naleganiem:

— Czy owego wieczora, g d y s i ę t o s t a ł o, byłeś w biurze u doktora Jintota?

Nie śmiała jaśniej i wyraźniej określić nocy, w ciągu której popełniono zbrodnię. Lecz Jakób widocznie zrozumiał i nie uczuł się podrażniony zapytaniem.

— Nie — rzekł — nie byłem w biurze.

— Jednakże doktor kazał ci, żebyś pozostał w niem, jak co wieczór?

— Tak.

— A ty nie usłuchałeś?

— Nie.

— Dlaczego?

Nie odpowiedział. Widocznie umysł jego nie reagował na zapytania, które nie zwracały się wprost do przedmiotu, o którym chwilowo myślał. Julia to spostrzegła i zagadnęła go w inny sposób:

Czy często zdarzało się, że wieczorem nie siedziałeś w biurze?

— Często... bo się nudziłem...

— A doktor o tem nie wiedział?

— Nie.

— A owego wieczora, gdzie byłeś?

Podniósł na nią raptownie zaniepokojone oczy.

— Nie wiem! — wybełkotał.

Ona przybrała minę surową.

— Wiesz dobrze, lecz nie chcesz powiedzieć.

Powtórzył machinalnie:

— Tak, nie chcę powiedzieć.

Ona, zdenerwowana już przedłużającą się walką z jego uporem, rzekła gwałtownie:

— Ja chcę, żebyś mówił!... Gdzie byłeś?

— W pawilonie.

Julia zadrżała.

— Czy w Pawilonie Bzów?

— Tak.

— U pana Laborda?

— Tak.

— Czy on cię znał?

— Tak, tak!... Pracowałem u niego często... Przyklejałem kartki pocztowe w jego albumie. On nieraz długo ze mną rozmawiał...

— Więc to on kazał ci przyjść tego wieczora?

— Nie.

— Może doktor Jintot polecił ci pójść do niego?

— Nie.

— W takim razie, kto?

— Nikt... Sam poszedłem...

— Na co?

— Nie wiem... Przyszła mi myśl, żeby pójść...

— Rozmawialiście?

— Tak... On się złościł...

— Na ciebie?

Jakóbek wybuchnął śmiechem tak gwałtownym, że aż się położył na kanapie.

— Nie, nie!... nie na mnie... Złościł się na pana Manescaulta...

— Za co?

Chłopak śmiał się coraz głośniej, a fizyonomia jego wyrażała uciechę bez granic.

— Powiedział do mnie: „Idź po dyrektora, po tego nikczemnika, po tego złodzieja!... Chcę się z nim rozmówić jeszcze dziś wieczór, natychmiast!“

Zdziwienie Julii wzrastało coraz bardziej.

— Dlaczego nazwał dyrektora złodziejem?

— Nie wiem.

Śmiech Jakóbka dźwięczał teraz zgrzytliwie.

— Cóżeś zrobił?

— Poszedłem po doktora.

— Po mego męża?

— Nie! po doktora Jintota.

— Więc on dopiero wtedy poszedł do Pawilonu Bzów?

— Tak.

— Razem z tobą?

— Tak.

— Czy długo tam zabawił?

Wyraz twarzy Jakóbka zmienił się raptownie. Wykrzywił usta, jakby dotknięty nagłą boleścią. Przyłożył ręce naprzód do serca, potem do czoła i szepnął słabym, płaczliwym głosem:

— Za dużo mówię... Boli mnie!

— Powiedz, czy cały czas pozostawałeś z doktorem u pana Laborda?

Lecz chłopak zdawał się już nie słyszeć. Lica jego wyrażały zachwyt nieopisany. Końcami palców pieścił rękę Julii.

— Jakie to miękkie! jakie delikatne! — bełkotał.

Poczem przymknął ociężałe powieki, pochylił głowę i wyczerpane z sił, osłabione ciało wyciągnął na kanapie. Usnął w jednej chwili, jak dziecko.

Pani Manescault powstała i cicho, na palcach, wymknęła się do sąsiedniego pokoju, w którym sędzia i komisarz siedzieli milczkiem, wstrzymując się od silniejszego oddechu, starając się nie utracić ani jednego słówka z tej dziwnej rozmowy.

ROZDZIAŁ XVI.

Rozjaśnia się nareszcie.

Deverrier, szepcząc, winszował młodej kobiecie:

— Prowadziłaś pani indagacyę bardzo zręcznie i z niezwykłem powodzeniem.

— O! doprawdy, nie wiem co mówiłam... Byłam tak wzruszona...

— Uspokój się pani... Jest rzeczą nieodzowną, by zaledwie chłopiec się obudzi, badać go dalej bez wytchnienia, bo nigdy już chyba nie znajdziemy potemu lepszej sposobności...

— Szczerze powiem — rzekł Guillaume, szepcząc również — że jeszcze nie osiągnęliśmy nic ściśle pewnego, lecz czuć już, że rzecz cała wyjaśni się wkrótce i przypuszczam, że w sposób stanowczy nareszcie!

Deverrier zauważył:

— Z tego, co mówił chłopak wynika jednakże, że doktor Jintot nie skłamał, gdy zapewniał, że nie udał się do Emanuela Laborda z własnej woli, lecz na jego wezwanie. Powiedział również prawdę, oświadczając, że chory był bardzo podniecony i domagał się osobistego przybycia dyrektora zakładu.

Guillaume odparł na to:

— Tak, lecz Jakóbek zamilkł właśnie w chwili, gdy miał opowiedzieć, co robił doktor Jintot po przybyciu do mieszkania pana Laborda. Gdy zwrócimy uwagę na jego nagłe wzruszenie, znużenie i raptowne uśnięcie, możemy przypuszczać, że osłabł, przypomniawszy sobie tragiczną scenę, w której doktor mógł odegrać znaczącą rolę...

Deverrier zwrócił się znowu do Julii:

— Uważam zatem za rzecz nieodbicie potrzebną, abyś pani mogła pozostać przy Jakóbie. Skoro się tylko obudzi, zechcesz łaskawie rozpocząć rozmowę od punktu, na którym została przerwaną przed chwilą.

Pani Manescault, ze zgodnem poddaniem się, skinęła głową.

— Dobrze, panie sędzio. Czy mam przedewszystkiem starać się o wyjaśnienie działalności doktora Jintota?

— Tak... i w ogólności chciej zmusić chłopaka do odtworzenia obrazu tego wszystkiego, co się działo w ciągu owej nocy, co do mnie bowiem, przekonany jestem, że musiał być świadkiem popełnienia zbrodni.

— Ach! tak pan sądzi?

— Wydaje mi się to faktem, zaprzeczyć się nie dającym. Wzruszenie, pomieszanie, ciągle zmieniający się wyraz twarzy... co mogliśmy stąd obserwować, sami niespostrzeżeni... zdają się wskazywać, że umysł jego nawiedzany bywa kiedy niekiedy złowrogiemi wizyami.

— Mój Boże! Muszę więc wydobyć z niego opowiadanie krwawej sceny. Nie wiem, czy mieć będę do tego dostateczne siły!

— Będziesz je mieć, łaskawa pani — zawyrokował sędzia śledczy tonem stanowczym. — Musisz zdobyć się na odwagę. Wszakże tu o jej brata chodzi!



— Kto ci dał pergamin? Czy doktor Jintot?

Guillaume podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju.

— Pani! — zawołał. — Czas wrócić... Chłopiec poruszył się, prawdopodobnie przebudzi się zaraz.

Pani Manescault udała się chwiejnym i znużonym krokiem do biura nieboszczyka męża i usiadła obok Jakóbka. Lekkie skrzypnięcie sprężyn w kanapie spędziło chłopcu sen z powiek. Otworzył oczy i podniósł się nieco. W tej chwili Julia go zapytała:

— Czy doktor Jintot dłuższy czas bawił u pana Laborda?

Jakóbek, ze spuszczonemi w ziemię oczami, odpowiedział spokojnie:

— Nie.

— Czy odszedł razem z tobą?

— Nie. Ja pozostałem.

— Pozostałeś zatem sam z panem Laborda?

— Tak, z początku... potem nadszedł dyrektor...

— A ty nie wyszedłeś?

— Nie!

Silny dreszcz wstrząsnął ciałem Jakóbka. Spojrzał wokoło błędnym wzrokiem.

Nagle na twarzy jego odmalował się wyraz dzikiej zwierzęcości. Jąkając się, zaczął mówić bardzo szybko, jakby olbrzymia fala wspomnień uderzyła mu raptownie na mózg i rozlewała się teraz wezbranym potokiem urywanych wyrazów.

— Nie wyszedłem... pozostałem... tak... w gabinecie do ubierania się, tuż zaraz przy pokoju... Tam ciemno... więc mnie nie widział ani jeden, ani drugi... Ale ja widziałem wszystko... Tak! tak! wszystko widziałem... Wszedł on, wieprz... wieprz, z którego miano krew wytoczyć!... Laborda powiedział mi: „Albo mi odda zaraz moje papiery, albo krew z niego wytoczę!“ Wyjął z komody sztylet i schował go pod kobierzec, przykrywający stół... „Zobaczysz — mówił do mnie — zobaczysz, jak się z człowieka krew wypuszcza. Tam, wielu w ten sam sposób na tamten świat wyprawiłem!“ Właśnie wtedy wszedł pan Manescault i krzyczał swoim brzydkim głosem: „Co to jest? Każesz mnie pan budzić! Czy jesteś chory?“ A Laborda odpowiedział: „Nie jestem chory, lecz chcę, żebyś mi oddał moje pieniądze!“ On mu na to: „Nie mam twoich pieniędzy!“ Wtedy Laborda wrzasnął...

Przerwał nagle i zaniósł się od śmiechu.

— Ha! ha! ha!... Laborda wrzeszczał i skakał jak kot... Jakie to było śmieszne!... Gadał, gadał... nie pamiętam już, co gadał... A potem, niespodzianie, ujrzałem Laborda leżącego na ziemi... a dyrektor... ściskał mu gardło...

Zamilkł, zachwiał się i padł w tył, ogarnięty snem nagłym.

Julia pochwyciła go za ramię i wstrząsnęła nim silnie.

— Mów!... mów jeszcze! Chcę żebyś mówił!

Jakóbek, chociaż chwilowo pozbawiony pamięci, podniósł się i potoczył wokoło gasnącym wzrokiem.

— Co?... czego?

— Czy pan Manescault zabił chorego?

Zaprzeczył poruszeniem głowy i widocznie, przypomniawszy sobie widzianą niegdyś scenę, zaczął się znowu śmiać głuchym, ponurym śmiechem.

— Nie! nie! — wykrztusił z wysileniem. — Laborda nie umarł... Dyrektor wypuścił go z łap swoich... a on się podniósł... Wtedy pan Manescault powiedział do niego: „Czy uspokoiłeś się pan?“ Potem przyrządził lekarstwo... w szklance... a potem chciał odejść...

— Mów! mów! — szeptała zdyszana Julia. — Mów-że!

Nagle Jakób krzyknął przerażającym głosem:

— Krew! krew! — zawył jak zwierz, tocząc wokoło obłąkanym wzrokiem. — Krew!... Ach!... czy nie widzisz, jak krew płynie?!

— Gdzie?

— Tam! tam!... Laborda pochwycił nóż... a ten drugi odchodził... Masz! masz!... dyrektor upadł... Ach! ach! wieprz... Z wieprza krew ciekła... ciekła... płynęła...

Upadł znowu nawznak na kanapę, tym razem w gwałtownym ataku konwulsyjnym.

Julia, niemal oszalała, zerwała się na równe nogi.

— Ach! to okropność! — szepnęła cała drżąca.

Deverrier i Guillaume przyskoczyli do niej. Komisarz wziął ją wpół i zaniósł na fotel.

— Odwagi!... Niech się pani nie boi, jesteśmy tu przecie!... Wszystko idzie jak najlepiej!

Deverrier pochylił się nad Jakóbkiem, wykrzywionym przez konwulsye w straszny sposób.

— Biedny chłopiec!... Trzeba go jednak ratować!

— Zadzwoń pan trzykrotnie — szepnęła pani Manescault łamiącym się głosem. — Doktor Jintot przybędzie...

Wkrótce potem wszedł doktor.

— Co u dyabła tu się dzieje? — mruknął.

Deverrier wytłómaczył mu pokrótce, co się stało.

— Ten nieszczęśliwy chłopiec był indagowany. Indagacya rzuciła niemal zupełne światło na sprawę, lecz nerwy jego nie wytrzymały badania... Chciej pan przynieść mu ulgę...

Doktor Jintot już pochylił nad Jakóbkiem i nachmurzony badał chłopaka sumiennie.

(Dokończenie nastąpi).



Leo Slezak.

Leo Slezak w Krakowie.

Jeden z najgłośniejszych śpiewaków wszechświatowej sławy, Leon Slezak, do niedawna pierwszy tenorzysta opery wiedeńskiej, którego zatarg z intendanturą teatrów nadwornych doprowadził do ostrego konfliktu, zakończonego ustąpieniem Slezaka ze składu solistów opery cesarskiej w Wiedniu, rozpoczął artystyczne tournée po Europie. Podróż ta, rokrocznie zresztą podejmowana, jest jednym szeregiem tryumfów wielkiego śpiewaka. W licznej plejadzie tenorzystów bohaterskich Slezak jest jedynym może, który obok sukcesów w partyach operowych, niemniej znakomitym jest interpretatorem pieśni. — Repertoar pieśniowy jest też głównem polem jego popisów estradowych, któremi Slezak olśniewa mnogie rzesze swych wielbicieli. Kraków, który miał już kilkakrotnie sposobność usłyszenia wielkiego śpiewaka, zalicza go do tych gwiazd, które zawsze liczyć mogą na wypełnioną salę i pełne entuzyazmu przyjęcie.

Koncert Slezaka w Krakowie odbędzie się w sali starego teatru w dniu 17 go b. m.

Nowy komendant krakowskiego korpusu.



Nowy komendant krakowskiego korpusu: Marszałek polny porucznik, Edward Böhm-Ermolli.

Poruszona przez nas w jednym z ostatnich numerów sprawa zmiany w dowództwie pierwszego korpusu armii austryackiej doczekała się nareszcie pomyślnego rozwiązania.

Według nadeszłej z Wiednia wiadomości cesarz Franciszek Józef zarządził zwolnienie dotychczasowego komendanta, jenerała broni barona Weigla z zajmowanego stanowiska, a następcą jego zamianował dotychczasowego dowódcę 12 dywizyi piechoty w Krakowie, marszałka polnego porucznika, Edwarda Böhm-Ermolli'ego.

Baron Weigl otrzymał trzytygodniowy urlop dla „wypoczynku", po którym już do Krakowa nie wróci.

W prasie pojawiły się wiadomości, jakoby miał on być upatrzonym na jednego z jeneralnych adyutantów cesarza, wymaga to jednak jeszcze potwierdzenia. Być może, że ma się w tym wypadku do czynienia z pogłoską taką samą, jak ongiś, gdy utrzymywano z „całą pewnością", że bar. Weigl obejmie tekę ministerstwa wojny po bar. Schönaichu.

W czasie kilkoletniego swego pobytu w Krakowie, gdzie dowodził najpierw dywizyą kawaleryi a potem piechoty, zyskał sobie jenerał Böhm-Ermolli ogólną sympatyę swem taktownem postępowaniem. Nie odnosząc się wrogo w stosunku do cywilnej ludności, jak to czynił jego poprzednik, naprawi też niezawodnie tę harmonię garnizonu z ludnością.



Związek „Gwiazd": Delegaci „Gwiazd" na zjeździe we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

Druga kronika tygodniowa w listopadzie tradycyjnie rozpocząć się musi od wzmianki o świętym Marcinie, który i w bieżącym roku zrobił nam zawód i zamiast przyjechać na siwym koniku przyszedł piechotą, czem zmartwił kuśnierzy, a rozradował serca biedaków, spodziewających się, że pomimo przepowiedni górali i tegoroczna zima będzie łagodną. Najgorzej wyszły na całym interesie gęsi (proszę tego wyrazu nie brać przenośnie), które w przeddzień uroczystości św. Marcina masowo oddawały gardła pod nóż nielitościwych kucharek.

Padło ich tego roku więcej, niż Włochów w Trypolisie, obchodzono się z niemi z okrucieństwem, na jakie sobie swem niewinnem życiem nie zasłużyły.

Okoliczność tę należałoby uważać za dobry znak, widocznie poprawiły się materyalne stosunki w kraju. Tak przynajmniej powiedziałby zawodowy ekonomista.

I ubiegły tydzień obfitował w sensacye.

Rozpoczął ich seryę ukraiński „heroj" Siczyński, który, sprzykrzywszy sobie pobyt w duszuych murach stanisławowskiego więzienia, czmychnął, gdzie pieprz rośnie. Jedni powiadają, że buja już swobodnie za oceanem i zakłada ukraińską rzeczpospolitą w Ameryce, drudzy twierdzą, że wyjechał do Trypolisu, inni wreszcie są zdania, że siedzi spokojnie gdzieś na wsi i czeka, aż harmider ustanie i będzie można spokojnie opuścić granice niewdzięcznej Galilei.

Przy tej sposobności wyszło na jaw, że dla niektórych ludzi „ciężkie więzienie" może być bardzo przyjemnem spędzeniem czasu, a niejeden śmiertelnik, czytając sprawozdanie ze stanisławowskiego śledztwa, wzdycha, by kiedyś na starość, po trudach i niewygodach, mógł bodaj w połowie używać takich wywczasów, jak pan Mirosław. Nawet wina nie brakowało!

Faktem jest, że ptaszek wyfrunął, a ten jego wyjazd, czy ucieczka (nazwać go proszę, jak się komu podoba), jest na rękę jedynie rządowi. Rusini nagabywali ciągle rząd centralny, żądając jego uwolnienia i przedstawiając go jako ofiarę polskiej intrygi, niestety nie mogli nic wskórać. Nie chcąc oburzyć całego społeczeństwa, w szczególności zaś Polaków, rząd musiał być konsekwentnym, choć przyznawał w duchu, że uprzywilejowanym „Tyrolczykom Wschodu" należałby się jakiś cukierek.

Ten węzeł gordyjski rozciął sam Siczyński. Według słów posła Baczyńskiego należy zwrot ten niespodziany (a jednak przecież spodziewany!) w jego sprawie uważać za pomyślny dla obu stron, to jest tak dla Rusinów, jak i dla Polaków, Siczyński nie będzie bowiem mógł działać politycznie w kraju, gdzie posiada mnóstwo fanatycznych zwolenników, a postać jego otoczona jest aureolą męczeństwa. Sprawiedliwość będzie jakiś czas narzekać, wreszcie i ona uspokoi się, wszystko powróci do dawnego trybu, a Siczyński wypłynie po jakimś czasie na widownię polityczną, jeżeli nie tutaj, to gdzieś dalej.

Jedno tylko Ukraińców nie cieszy. Teraz nie będą mogli narzekać na „krzywdę", bo jej ofiara buja już na wolności. A są jeszcze ludzie, którzy śmią utrzymywać, że Rusinom-ukraińcom źle się dzieje w Galicyi.

Wobec wyników śledztwa, które wykazało dowodnie, że z Siczyńskim obchodzono się we więzieniu nadzwyczaj względnie, dziwnemi wydają się biadania *Diła*. Twierdzi ono, że zdrowie bohatera-męczennika pogarszało się z każdym dniem, że odmawiano mu nawet mleka, choć podupadał na zdrowiu i przeciążano robotą... „To zrodziło w nim może plan ucieczki z żywego grobu" kończy organ galicyjskich Ukraińców.

W zupełnej sprzeczności stoją z tem wzmianki reszty prasy, opowiadające o rumieńcach Siczyńskiego i zresztą jego własne wynurzenia wobec od wiedzających go przyjaciół, że z pobytu w Stanisławowie jest zupełnie zadowolony.

Prasa ruska na ogół zachowała się z rezerwą, zanotowała sam fakt, wstrzymując się od zbytecznych komentarzy. We Wiedniu zajmowano się tą sprawą przez dwa dni, *ut aliquid fecisse videatur*, w cichości jednak zatarto ręce i powiedziano z ulgą:

— No! nareszcie!...

Nie dość jednej ucieczki. Zajmowaliśmy się i drugą.

Biuro korespondencyjne doniosło z Paryża, że profesor Sorbony, rodaczka nasza pani Curie-Skłodowska, uciekła za granicę z pewnym jegomościem. Jak więc pierwsza ucieczka miała podkład polityczny, ta znów była erotycznej natury.

Niektóre z naszych pism, polujące przez cały rok bez względu na czas ochronny na kaczki dziennikarskie, powtórzyły skwapliwie niestwierdzoną wcale wiadomość, inne czekały na potwierdzenie. Pokazało się, że te ostatnie miały racyę, pani Skłodowska wyjechała bowiem do Brukseli, ale na kongres naukowy, ataki zaś na jej cześć pochodziły od wrogów, którzy chcieli w ten sposób przeszkodzić w przyznaniu jej nagrody Nobla.

Po wielkim gwałcie jeszcze większa konsternacya, autor notatki w prasie paryskiej leje łzy nad szkaradą swego postępku i dziwi się, w jaki sposób gorączka zawodu mogła go do tego doprowadzić.

— Jedyną pociechę znajduję w tem — powiada — że zwykły dziennikarz, jakim ja jestem, nie byłby w stanie żadnym swym artykułem przyćmić sławy, jaka panią wieńczy, ni zmniejszyć szacunku, jaki ją otacza...

Ow „głęboko wzruszony" Fernand Hauser, „wprowadzony w błąd zgodnemi informacyami", ma niestety i u nas wielu naśladowców, nie poczuwających się jednak, tak jak on, do skruchy, gdy się ich przekona, że upolowali tylko kaczkę.

Pani Curie-Skłodowska odparła ataki skierowane przeciw sobie, obiecała ścigać sądownie napastników i wykazała całą ohydę ich postępowania. Im zrzedła mina, gdyż pomimo intryg ofiara ich została lauratką Nobla.

Z kolei rzeczy wspomnieć należy o wymianie czułości, których widownią był austryacki parlament. Poseł Malik i Hummer pogłaskali się wzajemnie po buzi, ale nie ręką, ale harapem. Osławione galicyjskie karczmy, gdzie wieśniacy pod wpływem działania alkoholu kłócą się i nieraz pobiją, są jeszcze salonem w porównaniu z tem, co teraz dzieje się w austryackim parlamencie. Różnice w zapatrywaniach politycznych wyrównują posłowie kijami i harapami, niezadowolenie swe wyraża publiczność galeryjna przy pomocy rewolwerów. Zupełnie nie przypomina to cywilizowanego społeczeństwa, ale jakiś środkowo-afrykański szczep murzyński, do którego nie doszła jeszcze europejska kultura.

A za te ich sympatyczne zabawki my musimy płacić.

Powiadają sobie na ucho, że rząd potrafi wyzyskać ostatnie zajście i rozpędzi parlament, a tymczasem będzie dążyć do wzmocnienia stronnictwa chrześcijańsko społecznego i na niem się oprze w przyszłości.

Czy mu się jednak powiedzie, nie wiadomo, od chwili śmierci Luegera potężne niegdyś stronnictwo uległo zupełnej dezorganizacyi i nie ma w swem gronie nikogo, ktoby mógł zastąpić byłego przywódcę. Żadne Gessmany ani Weisskirchnery nie dorośli do tego, obok swego wodza mieli jakieś znaczenie, gdy jego zabrakło i oni utracili dawne „walory", jeśli mi wolno użyć tak popularnego dziś wyrażenia.

Nie przeszkadza to jednak wszelkim odłamom prasy do wzywania posłów, aby przystąpili już raz do pozytywnej pracy, gdyż inaczej utrzymanie parlamentaryzmu będzie utrudnione.

Wogóle sytuacya w austryackiej Izbie posłów nie przedstawia się wcale wesoło. Przywódcy stronnictw dążą do koalicyi i czynią hr. Stürgkhowi trudności, jest już połowa listopada, a nikt nie widzi, w jaki sposób ma Rada państwa zakończyć swe prace. Rezultat dyskusyi drożyźnianej będzie czysto przypadkowy, los ustawy urzędniczej również jest niejasny. Nikt Izby nie prowadzi, nikt nie nadaje jej kierunku. Rząd domaga się czterysta-milionowej pożyczki, już i ona napotka na wielkie trudności, w każdym razie nie będzie w całości doconoloną. Ugoda czeska w Pradze i Wiedniu stoi tak źle, że gorzej być nie może. *Neue Freie Presse* dziwi się, że tego rodzaju eksperymenty możliwe są w kilka miesięcy po wyborach i przestrzega, że mogłoby przyjść jeszcze raz do wyborów, a ostrożni posłowie powinni się z tem liczyć.

W myśl starej maksymy, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni" postanowił się wybić na widownię polityczną najstarszy syn cesarza Wilhelma, następca tronu, książę Fryderyk Wilhelm. Jest to sobie jeszcze prawie młodzieniaszek (ur. w r. 1882), piastujący godność pułkownika huzarów. Jak dotąd, siedział sobie spokojnie w Berlinie, ostatnio w Gdańsku i nie mieszał się wcale do polityki. Laury jednak, jakie papa jego zbiera na tem polu, nie dały mu spać. Zerwał więc z dotychczasową taktyką i gwałtownym ruchem rzucił się w wir życia politycznego.

Parlament niemiecki obradował właśnie nad kwestyą marokkańską, w której, dzięki pokojowemu usposobieniu cesarza Wilhelma i pewnej ustępliwości Francyi, przyszło wreszcie do porozumienia. To jednak nie podobało się nieodrodnemu synkowi swego taty.

Wziął więc urlop tygodniowy, przybył do Berlina i rozsiadł się wygodnie w loży dworskiej. Pod czas przemowy kanclerza, Bethmanna Hollwega, uśmiechał się ironicznie i z powątpiewaniem „raczył najmiłościwiej kiwać głową", oklaskiwał natomiast gorąco ataki na kanclerza i rząd. Szczególniej Anglię zaczepiano ostro, a każda taka wycieczka spotykała się z jego aplauzem.

W ten sposób stanął on po stronie konserwatystów, liberałów i socyalistów, a przeciw własnemu ojcu i w myśl wszechniemieckich intencyi pobrzękiwał butnie szabelką, ale wybrał sobie czas nieodpowiedni.

Prasa niemiecka uderzyła na alarm, kanclerz zagroził dymisyą. Cesarz wezwał synka *ad audiendum verbum* i zapewne nakiwał mu porządnie, aby się nie pchał, gdzie go nikt nie prosi. Epilogiem onej burzy w szklance wody był familijny obiadek w Poczdamie, na którym spotkali się cesarzewicz z kanclerzem i wyrównali różnice zapatrywań.

Wobec tylu i tak ważnych wydarzeń zapomnieliśmy zupełnie o Trypolisie, skąd w dalszym ciągu nadchodzą najrozmaitsze wieści, zależnie od tego, czy otrzymujemy je *via* Rzym, czy też drogą na Konstantynopol. To jedno zdaje się być pewnem, że Turcy biorą górę i prażą Włochów. Niebawem będzie Włochom jeszcze cieplej, gdyż Turcy, za przykładem nieproszonych gości, sprowadzają aeroplany. Walka o Trypolis będzie więc pierwszą w dziejach, w której użyto flot napowietrznych.

Nasz kochany Kraków, obiecawszy kobietom czynne prawo wyborcze do Rady miejskiej, oczekuje cierpliwie, kiedy panowie rzeźnicy zdecydują się wypełnić obietnicę i zniżyć ceny mięsa i wędlin. Nastąpi to zapewne nie tak prędko, bez mięsa obejdziemy się jednak, zwłaszcza, że mamy już miejskie tanie ziemniaki i chleb, który wypieka nam partya socyalno demokratyczna na Podgórzu. Zresztą i adwent za pasem, a wówczas nabożny człowiek patrzy z obrzydzeniem na mięso, tak, jak niektórzy z recenzentów teatralnych na „głęboko wydekoltowany" kostyum pani Mrozowskiej w „Kobiecie i pajacu".

Jednego z nich, i to takiego, który się najbardziej oburzał, a nie opuścił ani jednego spektaklu, zainterpelowałem o to. Oświadczył mi, że tylko dlatego to czyni, by przypadkiem nie dostał biletu ktoryś z młodszych kolegów redakcyjnych, który łatwo mógłby potem zaprzepaścić swą niewinność i cnotę!... Poczciwy!...

Związek „Gwiazd".

Podjęta w czasie obchodu grunwaldzkiego w Krakowie myśl zjednoczenia wszystkich istniejących w Galicyi stowarzyszeń rękodzielniczych pod nazwą „Gwiazda", zrealizowała się ostatecznie w ubiegłą



Sienkiewicz raniony na polowaniu: Henryk Sienkiewicz w stroju myśliwskim.

niedzielę na zjeździe we Lwowie. W zjeździe tym wzięło udział 22 delegatów „Gwiazd". Po nabożeństwie, odprawionem przez biskupa Bandurskiego, zebrali się delegaci w sali lwowskiej „Gwiazdy", gdzie przemawiali: prezes Dwernicki, ks. biskup Bandurski, radca dr. Jahl (imieniem kraju), wiceprezydent Rutowski (imieniem m. Lwowa), poczem uchwalono statut Związku polskich „Gwiazd" i wybrano pierwszy zarząd.

Związek według uchwalonego statutu ma dążyć do utrzymywania łączności pomiędzy poszczególnemi „Gwiazdami" i nadawania jednolitego kierunku w ich pracy społecznej, oświatowej i zawodowej wśród kół rękodzielniczo mieszczańskich, przez pomoc materyalną i moralną, szerzenie oświaty i wykształcenia fachowego, opiekę nad praktykującą młodzieżą rękodzielniczą i t. d.

Do zarządu Związku wybrano: dra Dwernickiego ze Lwowa (prezes), p. Bujasa z Krakowa (wiceprezes), p. Lecha (sekretarz), oraz 10 delegatów prowincyonalnych.

Sienkiewicz raniony na polowaniu.

Niemiła przygoda spotkała przed kilku dniami na polowaniu znakomitego naszego powieściopisarza Henryka Sienkiewicza, który jest, jak wiadomo, zapalonym myśliwym. Na ostatniem z polowań, urządzonem w majątku Pawłowice, własności dra Jana Brzezińskiego, byłego redaktora „Kuryera Warszawskiego", już pod koniec polowania około godz. 5-tej popołudniu, gdy myśliwi zabierali się do odwrotu, nagle zerwał się bażant. Dano doń prawie jednocześnie dwa strzały, które chybiły. Bażant poszedł, natomiast ofiarą jednego z tych strzałów padł Sienkiewicz. Jedna śrucina ugodziła go w czoło powyżej brwi, druga w nogę.

Obie rany okazały się na szczęście lekkiemi i nie grożącemi poważniejszemi następstwami. Celem oznaczenia miejsca, gdzie kule ugrzęzły, poddano Sienkiewicza badaniu przy pomocy promieni Roentgena.

Stan zdrowia naszego pisarza nie budzi obaw, a lekarze za kilka dni obiecują mu zupełny powrót do zdrowia.

Pierwsza dyrekcya Izby rękodzielniczej w Tarnowie.

W szeregu usiłowań, mających na celu zapewnienie naszemu rękodzielnictwu należytego rozwoju, doniosłą rolę spełniają powstałe w ostatnich czasach w Galicyi Izby rękodzielnicze. Między innemi instytucyę tę otrzymał przed trzema blisko laty Tarnów, gdzie Izba rękodzielnicza została utworzoną dzięki zabiegom instruktora przemysłowego dra Ostrowskiego, komisarza starostwa dra Tadeusza Spisa i kilku chętnych do społecznej pracy przemysłowców.



Pierwsza dyrekcya Izby rękodzielniczej w Tarnowie: Członkowie dyrekcyi J. Weit, J. Maicher, J. Lis, F. Gadowski, Michalski, J. Kościółek i R. Kaempf.

Na pierwszem walnem zgromadzeniu wybrano prezesem p. Józefa Kościółka, malarza i obywatela miasta Tarnowa, który, nie szczędząc pracy i trudu, doprowadził tę młodą instytucyę do rozkwitu. Widząc jednak, iż sam nie podoła tej pracy, jest bowiem i dyrektorem Banku rękodzielniczego, zwrócił się do wydziału z propozycyą utworzenia dyrekcyi, co też wydział jednogłośnie uchwalił.

Illustracya nasza przedstawia pierwszą dyrekcyę Izby rękodzielniczej wraz z prezesem, w Tarnowie.

Oblężenie bandyty w Łodzi.

Okazuje się, że słynny herszt szajki bandyckiej, Dłużniewski, który po całym szeregu mordów i rabunków, wpadł wreszcie w pułapkę w Łodzi i zginął w płomieniach obleganego przez policyę domu, pozostawił pojętnych uczniów, którzy w zuchwalstwie

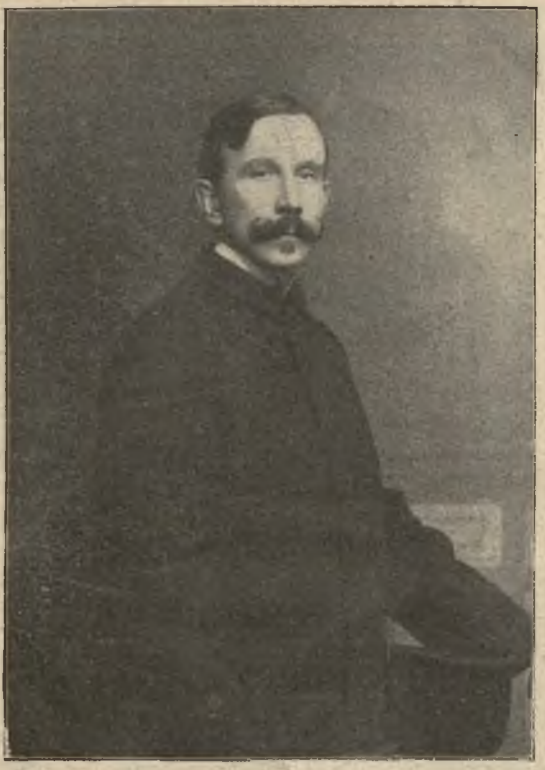


Zbrodnie bratobójcze wśród piekarzy warszawskich: Sekretarz Związku właścicieli piekarń w Warszawie, Jan Zawisza, na którego dokonano zamachu.



Oblężenie bandyty w Łodzi: Zwłoki zastrzelonego po dwudniowem oblężeniu bandyty Jakóba Dryni.

przeszli nawet swego „mistrza“. Łódź stała się znów widownią krwawej walki z bandytą, która długotrwałością oblężenia i rozmiarami kanonady przewyższyła wszystkie poprzednie tego rodzaju epizody. „Bohaterem“ tej walki był jeden z człon-

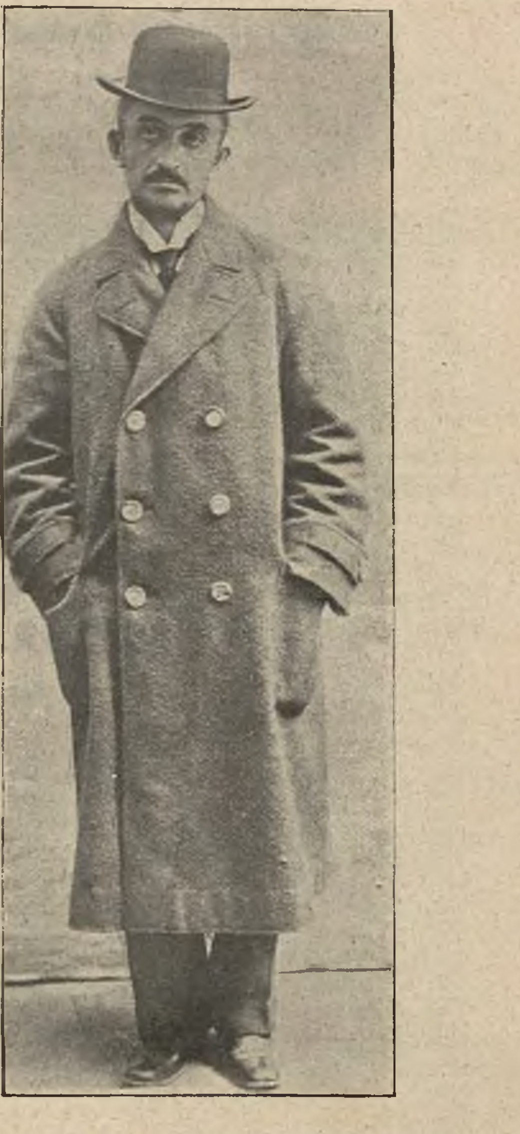


Zbrodnie bratobójcze wśród piekarzy warszawskich: Jan Rusiecki, właściciel biura „Punktualność“, raniony podczas zamachu.

ków bandy Dłużniewskiego, 22 letni Jakób Drynia, który ścigany przez policyę, wpadł na strych 3-go piętra domu pod Nr. 6 przy ul. Zielonej. Była to dobrze zaopatrzona w amunicyę kryjówka, bo opryszek, ukrywszy się za żelaznym rezerwoarem z wodą i zabarykadowawszy wejście — przez dwa dni wytrzymywał oblężenie, strzelając prawie bez przerwy z brauninga i mauzera i zaraz na wstępie ranił kilku policyantów. Policya wobec tego otoczyła kryjówkę i rozpoczęła oblężenie. Działo się to we czwartek po poł. W nocy rozpoczęto ostrzeliwanie kryjówki bandyckiej z karabinów, co trwało z przerwami do południa w piątek. Gdy to nie pomogło i bandyta nie ustawał odpowiadać na strzały, puszczono w ruch karabiny maszynowe, ustawione na dachach domów sąsiednich, aż wreszcie sprowadzono armatę. Strzelanina ta, podczas której ze strony policyi dano 7000 strzałów, trwała do wieczora w piątek.

W nocy wreszcie strzały ucichły, a gdy w sobotę rano, w trzecim dniu oblężenia, policya weszła do kryjówki, zastała tam już zastygłe zwłoki bandyty w pozycyi siedzącej na kozetce. W lewej ręce trzymał on brauning, a przez ramię miał zawieszony mauzer. Bandyta był niezwykle elegancko ubrany.

Jak wykazała następnie sekcya zwłok, bandyta został raniony dwoma kulami karabinowemi, w bio-

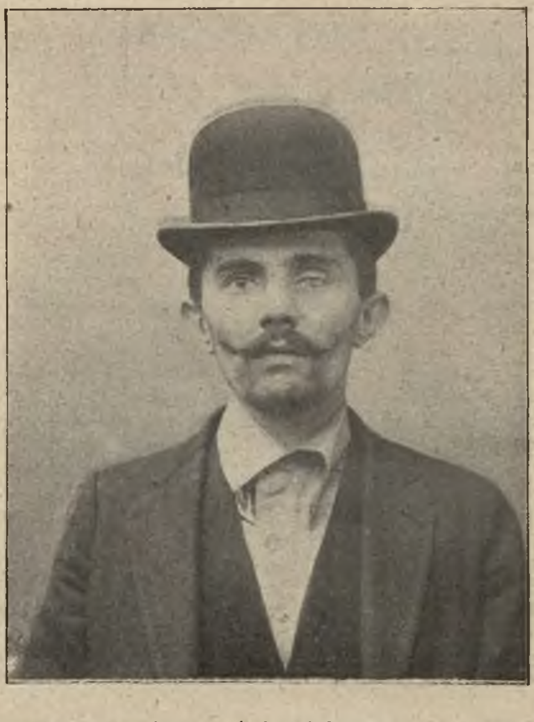


Niepowołany finansista: Karol Kornfeld, który za sfałszowanym dokumentem podjął w jednym z banków lwowskich 65 000 kor.

dro i w nogę, a na głowie miał wielką ranę od kuli armatniej.

Zbrodnie bratobójcze wśród piekarzy warszawskich.

Trwające od dłuższego czasu wśród piekarzy warszawskich wrzenie strejkowe w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zaznaczyło się drugą krwawą zbrodnią, której ofiarą padł sekretarz Związku właścicieli piekarń p. Zawisza. W dniu 8 b. m. w biały dzień w najruchliwszym punkcie Warszawy, bo na Krakowskiem przedmieściu, wprost ul. Bednarskiej, na stojącego na ulicy p. Zawiszę, który rozmawiał w tym czasie z swym znajomym p. Rusieckim, napadło trzech zbirów i dało doń z tyłu kilka strzałów rewolwerowych. Widząc ofiarę swą padającą na bruk we krwi, wykonawcy „wyroku“ rzucili się do ucieczki. Dwaj biegnący przodem skręcili w ulicę Sowią i zdołali zbiedz, trzeci jednak, widząc pościg tuż za sobą, wpadł w bramę domu L. 10 przy ulicy Zajęczej i tam został schwytany. W ujętym opryszku poznano 24-letniego czeladnika piekarskiego bez zajęcia, Wiktora Stempkowskiego, poszukiwanego oddawna przez policyę uczestnika napadów na kasyerów i inkasentów.



Zbrodnie bratobójcze wśród piekarzy warszawskich: Wiktor Stempkowski, sprawca zamachu na sekretarza Związku właścicieli piekarń.

Stan obu ofiar napadu jest poważny. P. Zawisza raniony został trzema kulami w głowę, ale o tyle szczęśliwie, że mózg nie został naruszony. Towarzysz jego p. Rusiecki, właściciel biura porad, odniósł ranę w szyję.

Niepowołany finansista.

Sztuka zdobywania... cudzej własności może się poszczycić w obecnych czasach najrozmaitszymi rodzajami „specyalistów“, jak włamywacze, „kieszonkowcy“, złodzieje kolejowi i t. d. Wśród tej bogatej galeryi „rycerzy przemysłu“ zajmują osobne miejsce „specyaliści“ od podnoszenia z banków różnych sum — naturalnie za sfałszowanymi dokumentami. Jest to rzemiosło dość popłatne, a przytem mniej niebezpieczne, niż n. p. wyprawy włamywaczy lub bandytów, to też w ostatnich czasach znajduje wielu amatorów. Jednym z nich był niejaki Kornfeld, który pod nazwiskiem Singera zdołał „odebrać“ z lwowskiej filii Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu 64.000 koron. To powodzenie jednake skończyło się dla Kornfelda bardzo smutnie, bo niepowołanego „finansitę“ ujęto w Bernie morawskiem i osadzono w więzieniu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 44.

Arytmogryf: Krasiński, Przedświt.

Szarada: Stojałowski.

Bilet wizytowy: Krawiec męski.

Szarada: Ananas.

Łamigłówka: Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Zadanie rachunkowe:

1	2	3	4	5	6	7
4	7	6	3	2	1	5
3	6	5	1	4	7	2
2	4	1	6	7	5	3
6	5	2	7	3	4	1
7	3	4	5	1	2	6
5	1	7	2	6	3	4

Przysłowiówka: Cicha woda brzegi rwie.

Zadanie do przestawienia: Krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje.

Łamigłówka: Zatarg o Marokko.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Winnica, M. Więckowska Warszawa, J. Opolski Tarnów. H. Radomska Kraków, J. Halski Janów, Z. Malinowska Kraków, J. Cieśliński Rzeszów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Łopatkiewicz Sanok, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Szczucin, H Lindenbaum Jasło, H. Obst Warszawa, J. Pick Warszawa, K. Radziński Łańcut, J. Charzewski Kraków, T. Trąbczyński Przemyśl, K. Ohrenstein Podgórze, R. Tokarski Rzeszów, J. Pytel Kolbuszowa, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, A. Balicki Stanisławów, K. Gliński Kołomyja, M Świrska Sandomierz, J. Radoszewski Strzyżów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, J. Kwaśniewski Przemyśl, W. Ostrowski Piotrków, R. Bandrowski Warszawa, J. Jabłoński Tarnów, J. Scholz Kolbuszowa, K Bernatowicz Rzeszów, B. Sługocki Lwów, M Raszka Cieszyn, H. Mróz Lwów, M. Zamojski Lublin, J Radomyski Piotrków, K. Giżyńska Kijów, S. Michalik Lwów, R Waligórski Przemyśl, W Thun Kalisz, S. Kalinowski Warszawa, J. Trepka Radom, T. Mazaraki Sambor, S. Krzyżanowski Podgórze, Z. Taborska Nowy Sącz, H. Wilczyński Kraków, J. Płaziński Tarnopol, H. Limanowski Warszawa, S. Karczmarski Poddębie, R. Gawiński Kraków, A. Siatka Kraków, M. Cichocka Brzeżany, Z. Serwański Jasło, H. Jaworski Kijów, J. Nowacki Jasło, H Kozicka Tarnów, C. Wang Rzeszów, D Engelberg Lwów, J. Zachara Mielec, K Wyka Tarnów, Z. Rosenbaum Bochnia, J. Wolny Warszawa, H. Mazurkiewicz Lwów, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, M. Klappholz Rzeszów, J. Popiel Kamieniec, A. Gralewski Kraków, R. Kowalski Kraków, K Kaim Kraków, W. Kowalówka Wieliczka, H. Zegartowska Bogucice, W. Potocka Kraków, J. Wilczkiewicz Sambor, S. Wysoczański Poznań, S. Kamiński Petersburg, D. Schwadron Kraków, S Medvński Zakopane, J. Krawecki Rzeszów, F Stanślicka Głogów, F. Blätterfeind Kołomyja, S Rogozińska Kijów, J. Antosz Tarnów, H Wolański Dąbrowa, K Armatys Uhnów, J. Czarkowski Pilzno, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, M. Sperling Wiedeń, T. Broda Strzyżów, M. Kunz Czerniowce, J. Lipski Wiedeń, H Trojacki Sanok, K. Reichenberg Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn, M. Piątek Podwołoczyska, J. Obraczay Morawska Ostrawa, M Rawska Głogów, D. Gross Sanok, M. Münz Stryj, J. Pawłowski Lwów, S. Uderska Kraków, M. Ołeksiukowa Holeszów, E Bogdalska Koropuż, J. Różycka Jarosław, K Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, M. Serbeńska Budzanów, A. Lorencki Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Bernatowicz Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z „CYRKU EDISON“: Najnowszy program zaleca się doskonałym doborem obrazów, wśród których na pierwszy plan wybija się niedoścignione wprost pod względem plastyki i wierności historycznej zdjęcie, osnute na tle mistrzowskiej powieści Wiktora Hugo, p. t. „Dzwonnik z Notre-Dame“ ze słynną tancerką Opery paryskiej panną Napierkowską w roli głównej. Długość tego filmu wynosi przeszło 1200 metrów. Programu dopełni „Przyjęcie u wodza Dinkasów“, wspaniałe zdjęcie z natury na tle przepysznej podzwrotnikowej roślinności, aktualny jak zawsze „Zurnal Pathego“, przynoszący obrazki z wojny włosko-tureckiej, oraz przegląd najważniejszych wypadków z dziedziny polityki, sportu, wypadków, katastrof, mód kobiecych i t d, wkońcu arcykomiczny obrazek „Talent muzyczny Jasia“.

Z półek księgarskich.

W setną rocznicę 1812—1912. **Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej.** Napisał Dr. *Maryan Kukiel* we Lwowie. Pod tym tytułem ukazała się na półkach księgarskich nowa książka. która niechybnie uzyska ogólny aplauz i uznanie w społeczeństwie naszem wszystkich trzech zaborów. Sto lat mija w roku przyszłym od chwili „gdy naród do boju wystąpił z orężem“, gdy w błogiej nadziei wywalczenia dawnych granic państwa, uruchomił 90 000 zbrojnego ludu, z których około 70 000 wyruszyło pod okiem Napoleona, boga wojny, w pole, aby wskrzesić „dawną“ ojczyznę.

Autor wywiązał się znakomicie ze swego zadania. Dwudziestolecie dziejów oręża polskiego w epoce napoleońskiej podzielił na cztery części, w których z prawdziwym polotem i zamiłowaniem tematu przedstawił nam historyę militaryzmu polskiego ówczesnej epoki.

Śmiało rzec można, że nie mamy w literaturze naszej tak znakomitego całokształtu epoki napoleońskiej. Dzieło Dra Kukiela jest pierwszą, naukowo traktowaną popularyzacyą ówczesnych wypadków, która nawet dojrzałemu umysłowi korzyść przynieść musi.

W żadnej bibliotece, w żadnej czytelni publicznej nie powinno dzieła tego zabraknąć, a rodzice, u których nie wymarło poczucie polskości, nie znajdą lepszego podarunku „na gwiazdkę“ dla swych dzieci, które w szkole podobnej zdrowej strawy duchowej nigdy niestety nie zaznają.

Wydawcom — ruchliwej księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski w Poznaniu — udało się pozyskać znakomitego wprost illustratora. Jest nim Jerzy Kossak, 29-letni wnuk nieśmiertelnego Juliusza i syn genialnego Wojciecha, który widocznie odziedziczył talent po przodkach, gdyż tak pod względem doboru tematu jako i tryskającego z dzieł jego życia oraz nadzwyczaj sumiennego przeprowadzenia szczegółów bije zapowiedź ogromnego rozmachu i przyszłych tryumfów.

Wykonanie barwnych obrazków jest arcywierne i podziwiać należy dzisiejszy stan techniki drukarskiej, która w trójbarwnym druku tak piekne wykonuje kopie.

Jeżeli nadmienimy jeszcze, że okładkę skomponował profesor S. A. Procajłowicz z Krakowa, że dzieło opatrzone jest 5 mapami teatrów wojen, w których oręż polski brał udział, jeżeli dodamy, że „skorowidz osób“ podaje około 750 nazwisk, wśród których liczne widzimy rodziny wielkopolskie, to wystarczy to zupełnie, aby uwydatnić staranność wydawców którzy niczego nie zaniedbali, aby zapewnić dziełu nowemu powodzenie; zapewni je także kolosalna liczba 250-ciu czarnych rycin i winiet, przeważnie nowych i nieznanych. Dzieło obejmuje 26 arkuszy gęstego druku, kosztuje tylko 15 K. za gotówkę (na raty miesięczne po 3 K.) i jest do nabycia w każdej lepszej polskiej księgarni.

Zachęcamy szczerze i gorąco czytelników naszych, aby się zapoznali z nowem wydawnictwem; zasługuje ono na jaknajwiększy popyt, a wydawcy zasługują w pewnej mierze na poparcie całego polskiego ogółu, tem więcej, iż przeznaczyli 10% czystego zysku na „Macierz Śląską“ w Cieszynie.

Słowo prawnicze. Wychodzące w Krakowie pod redakcyą Dra Zygmunta Mandla zawiera w nrze 6: *Profesor dr. J. Makarewicz:* Prasa a przysięgli. Zjazdy prawnicze. Sprawa Tadeusza Tatarczucha. Ubezpieczenie towarowe. Wyzysk teatralny.

Słowo prawnicze jest jedynem pismem poświęconem zawodowym interesom prawników polskich, a dzięki wybitnym współpracownikom spełnia znakomicie to zadanie.

NADESŁANE.

Restauracya Starego Teatru

pod nowym zarządem

otwartą została dnia 24 września

Doborowa kuchnia pod kierunkiem pierwszorzędnego kuchmistrza z Warszawy.

Piwo pilzneńskie. Piwnica zaopatrzona obficie w najlepsze napoje i trunki

Cztery gabinety artystyczne z pianinami.

Mała sala na bankiety, wesela i zebrania towarzyskie.

Codziennie kwartet muzyki salonowej

ANTONI KWIATKOWSKI
i RUDOLF STRIET
restauratorzy.

Tylko dla Pań!

Wykonuje ang. kostyumy, spodnice, amazonki, płaszcze etc.

Wykończenie solidne. Ceny niskie.

Józef Gałązka

w Krakowie, ul. Floryańska L. 16.



Pierwsza krakowska fabryka la!ek oraz klini a Kraków, Wolska 1. Cenniki na żądanie.

Wybór, wyrób i ceny bez konkurencyi!

Polecamy na

św. Mikołaja i Gwiazdkę

następujące

LALKI skórzane z blaszaną głową
LALKI z włosami prawdziwymi
LALKI drewniane ręcznej roboty
LALKI w krakowskich strojach
LALKI mówiące „mama"
LALKI z figurą do nauki kroju i szycia
LALKI do pokoików dziecinnych
i 1000 nowości w lalkach i zabawkach.

Wysyła za zaliczką każde zamówienie.

HELDOLANA

światowej sławy **mydło** piękności wspaniałej. **Zupełnie nieszkodliwe.** — Usuwa wszelkie **piegi, zmarszczki, pryszcze, plamy** i t. d., i nadaje cerze **świeżość i gładkość.** Cena za puszkę z opisem K 1·50.

Do nabycia we wszystkich aptekach i drogueryach. Składy we Lwowie w aptekach: Z. Ruckera, H. Blumenfelda, J. Pinelesa, K. Dülla i J. Jezierskiego, oraz w drogueryach: J. Rechena, Halicka 21 i H. Grünspana, Gródecka 23.



Mężczyźni!

Choroby nerwowe

można przez używanie najnowszego, powszechnie uznanego, we wszystkich państwach prawnie zastrzeżonego „Männerheil" aparatu (Syst. prof. Biera) w nadzwyczajnie krótkim czasie bez przeszkody w pracy zawodowej i pomocy kogoś drugiego zupełnie usunąć. Polecane przez lekarzy. Za sztukę wraz z przepisem używania K. 24·—, za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należności wysyła **Główny skład dla Austryi i Węgier:**

Hygieniczny dom towarowy

Henryk Bornstein

Wiedeń I., Rotenthurmstr. 13 G.



Do Ameryki i Kanady

przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej wraz z pogłównem **K 160·—**, od dziecka poniżej lat 12 wraz z pogłównem **K 90·—**.

Odjazd z portu **w Tryeście: Carpathia:** 28 listopada 1911.
Odjazd z portu **w Fiume: Caronia:** d. 9 grudnia 1911, **Franconia:** dnia 20 grudnia 1911.

Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 18|11, 16|12 1911 r., 27|1, 17|2 1912 r. **Mauretania:** dnia 9|12, 30|12 1911 r., 20|1 1912 r.

Tylko K. 1·80. **Modne damskie torebki**

w bogatym wyborze.



Nr. 7517 z brązowej, prasowanej ceraty w rodzaju skóry krokodylej (Pluviosin) od prawdziwej skóry nie do odróżnienia, wewnątrz z podszewką, z pięknym pozłacanym zamkiem, wykładanym imitacyą perłowej masy. Rączka skórk. 24 × 18 cm. duża kor. 1·80.

W lepszym gatunku torebki w modnem wykonaniu po K 2·30, 2·70, 3·—, 3·80, 4·50 i wyżej w moim głównym katalogu. Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Wysyłka za pobraniem lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez c. k. nadwornego dostawcę

Hanns Konrad w Brüx, Nr. 2940 (Czechy).

Główny katalog z 4000 rycin na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

NAJLEPSZA CZEKOLADA
Z FABRYKI
ADAMA PIASECKIEGO, KRAKÓW
UL. DŁUGA L. 12.- FLORYAŃSKA 2.
PROSZĘ ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

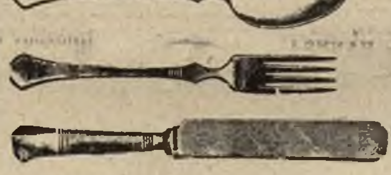
30% opustu! **30% opustu!**

Wysprzedaż.

wielkiej ilości na **wystawie w Dreźnie** niesprzedanych **przedmiotów z prawdziwego srebra chińskiego Jedyne zastąpienie prawdziwego srebra. Gwarancya za wytrzymałość. Znacznie niżej ceny kosztu.**

Modny klosz ze szlifowaną kryształową wstawką K 3·—. Cukiernica z sitkową łyżką i szlifowanym szkłem kryształowem K 2.80. Modny kosz na owoce albo kompotierka ze szlifowanem szkłem kryształowem K 5·50. Kosz na chleb lub karty wizytowe K 3. Świeczniki stołowe w najmodniejszym fasonie za parę K 6·90.

Wyjątkowa cena jak długo zapasu starczy.



Nakrycie stołowe w najmodniejszym fasonie, gwarancyjnie całe wewnątrz z białego metalu. 10 lat gwarancyi za wytrzymałość. Nóż, łyżka lub widelec za szt. K —·65. łyżeczka kawowa za sztukę . . . . K —·35. Chochla do zupy za sztukę K 1·80.

Chochla do mleka za sztukę K 1·20.

Wysyła tylko za zaliczką **Alfred Fischer, Wiedeń I., Adlergasse 10.**

Wysyłam każdemu mój główny katalog darmo i opłatnie.



Tylko wprost

z Pierwszej śląskiej fabryki „SUDETIA" Jagerndorf 17 (Slask austr.)

kupujcie materyały na ubrania

dla Panów i Pań jakoteż i **śląskie płótna** najlepszego gatunku po najtańszych cenach fabrycznych

Zachwycające nowości sezonowe! — Resztki za bez cen. Prosimy zażądać wzorów!

Najtańsze maszyny do robienia pończoch

w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy

J. F, Nouzak, Praga (Czechy) **Riegerquai 24/47.**

Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

Potrzebuje Pan broni?



Na polowanie, dla sportu, ogrodu lub obrony? To zażądaj Pan natychmiast cennika Nr. 85 znanej w całym świecie bardzo rzetelnej firmy **A. Antonitsch, fabryka broni, Ferlach (Karyntya).** Bezpłatnie! Werndla strzelby dla piechoty do polowania K 7·50. Takie same obcięte do formy karabinu i ostrzelKne K 12·—. Takie same do śrutu, kalibru 28, K 13·50. Do nich naboje najtaniej.

Prawdziwe czeskie towary trykotowe.



Koszule, staniczki, majtki etc. dla **panów, pań i dzieci** w największym wyborze **i w najlepszym gatunku.** Ubrania dziecinne t. j. staniczek i spodeńki zimowe w jednym kawałku, wewnątrz ostre, zależnie od wielkości K. 1·60, do K. 3·20. Zimowa koszula męska, zależnie od wielkości: K. 3·20, 3·40, 3·60 i 4·—. Damska koszula zimowa, zależnie od wielkości: K. 3·30, 3·50, 3·70.

Wielki wybór w koszulach męskich, kalesonach, w koszulach damskich, dziecinnych staniczkach i majtkach, jakoteż dokładny opis wielkości znajdzie Pan w moim katalogu głównym.

Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Wysyłka za zaliczką, albo za poprzedn. nadesłaniem należytości.

C. i k. nadworny dostawca **Hanns Konrad** Dom wysyłkowy w **Brux Nr. 2922** (Czechy).

Bogato illustrowany katalog główny z 4000 rycin wysyłam darmo i opłatnie.

Wyłączna sprzedaż kieszonkowych zegarków Herkules



w ładnej oprawie, z dobrze idącym werk., z sekundową wskazówką, w nocy świecąc. **K 3·50.** Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie ilustr. katalog zegarków, wyrobów jubilerskich i części składowych zegarków, wszelkiego rodzaju narzędzi, instrument. muzycznych i towarów galanteryjnych

F. PAMM, Kraków, Zielona 3-53.

Gotowa pościel



z czerwonego inletu, dobrze wypełniona, 1 pierzyna lub 1 piernat 180 cm. długie, 116 cm. szer. K 10·—, 12·—, 15·— i 18·—. 2 m. długie, 140 cm. szer. K 13·—, 15·—, 18·— i 21·—. 1 poduszka 80 cm. długa, 58 cm. szer. K 3·—, 3·50 i 4·—, 90 cm długa, 70 cm. szer. K 4·50 i 5·50. Wykonuje się także wedle każdej podanej miary, materace wlósiane z 3-ch części na 1 łóżko á K 27·—, lepsze á K 33·—.

Wysyła franco za zaliczką od K 10·— wzwyż. Zamiana i zwrot za zwróceniem porta dozwolona.

Benedykt Sachsel, Lobes Nr. 949 koło Pilzna (Czechy).

Najpiękniejsze materye

na suknie damskie, bluzy, szlafroki i sukienki dziecinne, najmodniejsze angielskie materyały, jednokolorowe szewioty, kamgarny i aksamity, flanelki, barchany, woale, zefiry, batysty, sukna, płótna, materyały bawełniane, chusteczki i t. p.

Na podarunki gwiazdkowe!

Połowę ceny

zyskuje się przy tej rzadkiej i korzystnej sposobności i niechaj Pani zażąda bezpł. nadesłania naszej

Okazyjnej kolekcyi próbek ze znacznie zniżon. cenami gwiazdkow. jakoteż naszego **Illustrowanego, prześlicznego gwiazdkowego katalogu** z setkami rycin wszelkiego rodzaju podarków, przedm. użytkow., zabawek etc. etc.

Grand Magazin „Au prix fixe", Kammer & Schlesinger

Wiedeń I., Graben 15/7.

Każda Pani

znajdzie u mnie popłatny boczny zarobek przez roboty ręczne. Robota zostaje do każdej miejscowości wysyłaną. Prospekta wraz z gotowymi wzorami wysyła się za poprzedniem nadesłaniem 30 h. w markach.

Emma Beck, Wiedeń XX. Brigittenauerlände 30.

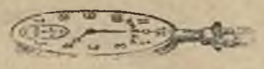
„HOTEL NARODOWY"

Kraków, ul. Poselska L. 22

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu.

Ceny pokoi przystępne wraz ze światłem i usługą.

Najtaniej Zegarki, zegary, Pierścionki



W KRAKOWIE oraz wszelkie wyroby złote, srebrne i srebro stołowe poleca

Grodzka 25 Emil Goldwasser



za darmo i opłacone wysyła bogato illustrowane cenniki.



GASTON LEROUX.

BALAOO

4)

Była to stopa długa, o szerokiej podstawie i silnie rozwiniętym wielkim palcu. Te szczegóły były widoczne, chociaż noga nie stąpała boso, lecz ubrana w skarpetkę. Człowiek, który chodził po suficie — przez ostrożność, żeby nie robić hałasu, zdjął obuwie; zdjął je naturalnie przed wejściem do domu, gdyż skarpetki odbite na suficie, zawalane były mokrym torfem, po którym przedtem widocznie chodził. Miejscami można było rozróżnić odbicie kratek grubej wełny i cerowanie. Pan de Meyrentin wskazał je palcem merowi. Te „cery" nie były robione porządnie, lecz wyglądały, jak jakieś szczególne łaty, okrągłe, wielkości dwudziestofrankówki, a obrzucone były niedbale wokoło.

— Żart to, czy nie — ten co wycisnął te ślady — zapłaci za nie głową — rzekł sędzia.

Zeskoczył na podłogę, gdzie z wielkiej radości, aż okręcił się w kółko kilka razy.

— Panowie! — oznajmił najpoważniej w świecie — chodźmy szukać człowieka, który chodzi do góry nogami!

— A jak taki pije? — zapytał półgłosem Michał, konduktor dyliżansu „Czarnych Lasów".

Na szczęście sędzia nie usłyszał go. Zapytywał właśnie Roubiona, czy niema gdzie torfu koło oberży. Roubion zaprowadził go na tyły domostwa, od strony szkoły — i tam znaleźli pośrodku uliczki te same ślady, które widzieli na suficie. Slady te urywały się raptownie między dwoma wysokimi murami bez drzwi i okien. Nie można było zrozumieć, w jaki sposób ślady nie odnawiały się nigdzie.

— Kpiny coraz lepsze! — szydził pan de Meyrentin.

A teraz chodźmy do pana Saint-Aubin.

Wyjaśniono już sędziemu, że znaleziono Patryka omdlałego w izbie stołowej, chociaż poprzedniego wieczora było postanowione, iż ma on spać na bilardzie. Ta zamiana zdawała się bardzo zajmować sędziego śledczego.

Wuj Patryka Coriolis Boussac Saint-Aubin mieszkał w swej posiadłości, jednej z większych i dawniejszych, położonej za wsią, prawie na granicy lasów.

Roubion i mer u drzwi Saint Aubin'a pożegnali się, a pan de Meyrentin zastukał. Otworzyła mu stara Gertruda, oznajmiając, że pan Patryk odpoczywa.

Staruszka była bardzo poruszona.

Nadszedł Coriolis, w złym humorze, wichrząc swe białe, długie włosy i skarżąc się prawie niegrzecznie, iż z racyi tych wszystkich historyi nie ma spokoju i nie może pojąć, poco jego siostrzeniec przyjeżdża do Saint-Martin, skoro tyle sprawia zamięszania.

— Chciałbym się zaraz widzieć z pańskim siostrzeńcem — oznajmił pan Meyrentin rozdrażniony.

— Patryk spi.

— To go się zbudzi.

Wuj odwrócił się. Wówczas wdała się w to młoda dziewczyna, o twarzy łagodnej i uprzejmej, z oczami zaczerwienionemi od niedawnego płaczu.

— Proszę iść za mną, panie sędzio...

Gdy weszli do pokoju, Patryk pogrążony w gorączkowym śnie, poruszał rękami, jak gdyby bronił się przed jakąś przerażającą wizyą i wymawiał słowa bez związku. Wchodząc, usłyszeli właśnie okrzyki: „Litości dla domu człowieka!" „Czemu wołałeś na mnie: Pa...

Pan Meyrentin nie mógł się powstrzymać od drżenia. Doktor rzekł:

— Myślę, że lepiej go zbudzić, zanim jego umysł sam powróci do równowagi. Podobne sny mogą spowodować gorączkę.

Sędzia dał znak doktorowi, żeby milczał i począł przysłuchiwać się majaczeniom świadka. Lecz Patryk już nic więcej zrozumiałego nie powiedział. Sędzia zwrócił się do Coriolisa:

— Czy pan nie spodziewał się wczoraj swego siostrzeńca — zapytał.

— On twierdzi, iż wysłał depeszę, lecz ja jej nie otrzymałem. Wskutek tego nikt mu nie otworzył, gdy stukał w nocy do naszych drzwi.

— Proszę pójść do pani Godefroy, zarządzającej pocztą — rozkazał sędzia pisarzowi — i dowiedzieć się, czy była wczoraj jaka depesza do pana Boussac Saint Aubin.

Pisarz oddalił się utykając.

Wtem Patryk się zbudził.

Pan de Meyrentin czekał na to z niecierpliwością. Może wreszcie będzie coś wiedział? Będzie wiedział, czem było to coś, co chodziło po suficie i dokonywało tajemniczych zbrodni!

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał młody człowiek, otworzywszy oczy, była słodka twarz Magdaleny.

Podobnie, jak i narzeczony, miała ona włosy jasne i oczy niebieskie. Oboje kochali się oddawna, od czasu, gdy, będąc małemi dziećmi spotykali się na wakacyach u ojca Saint-Aubin'a. Córka Coriolisa wychowywała się we Francyi, podczas gdy jej ojciec prowadził swe interesy na drugim końcu świata — w Batawii, gdzie był konsulem swego kraju. Patryk żałował bardzo powrotu z Dalekiego Wschodu wuja Coriolisa, który zamknął się wraz z córką w swej posiadłości w Saint-Martin-des Bois, gdzie żył jak niedźwiedź. Wujowi nie chodziło wcale o wizyty siostrzeńca, któremu dawał to poznać. W zasadzie zgadzał się na przyszły związek, zamienił o tem parę słów ze starym Saint-Aubin z Clermont, tymczasem jednak żądał, żeby mu dano spokój.

Patryk przypatrywał się jeszcze z czułem uwielbieniem swej ukochanej, gdy doktór Honorat odezwał się zaznajamiając go z sędzią. Następnie zalecił mu spokój i przedewszystkiem kazał mu zebrać myśli. Krótko mówiąc — nadeszła chwila, w której Patryk z całą odwagą i szczerością powinien był opowiedzieć sędziemu śledczemu wszystko, co danem mu było widzieć i słyszeć. Chodziło o bezpieczeństwo całej okolicy.

Pan de Meyrentin zdawał się potwierdzać to ostatnie kiwnięciem głowy.

Akurat w tej chwili — długa postać pisarza, kulejąc, weszła do pokoju.

Był on rozwścieczony do niemożliwości. Wygrażał zaciśniętemi pięściami i mówił tak szybko, że niepodobna było zrozumieć, o co mu chodzi. Wyglądał tak, jak gdyby został przed chwilą spoliczkowany.

— Policzek! — zapytał pan de Meyrentin osłupiały.

— Tak jest!

Pisarz, mówiąc to, wyglądał tak śmiesznie, iż Magdalena nie mogła powstrzymać uśmiechu, a stara Gertruda parsknęła mu w oczy.

— Niema się z czego śmiać! — burknął niegrzecznie pisarz. — Mnie spoliczkowano! Mnie!... Ale to się na tem nie skończy!

— Dobrze, dobrze, panie Bombarda (tak nazywał się pisarz) — powiedz nam pan najpierw, jak się to stało?

Pan Bombarda wytarł twarz, spojrzał na Gertrudę z wściekłością i rzekł:

— Wracając z poczty, przechodziłem przez ulicę Nową. Spieszyłem się bardzo i — przechodząc, potrąciłem lekko jakieś indywiduum, które chciało zająć dla siebie cały chodnik. Ledwie się go dotknąłem, przeprosiłem i chciałem iść dalej — gdy nagle paf! otrzymuję policzek... ale jaki policzek, panie sędzio... aż zatoczyłem się na mur kamienicy. Świeczki stanęły mi w oczach! Chciałem rzucić się na tego zbója — ale zniknął mi tak, jak gdyby zapadł się w ziemię! W jaki sposób mógł się tak ukryć? Szukałem go, wołałem, groziłem! Jego szczęście, że się nie pokazał, byłby dostał za swoje! Ale co za uderzenie! Zdaje mi się, że dotąd policzek mam czerwony. Ale ja go odnajdę — i wówczas nie ujdzie mu to na sucho!

— Tak, tak, tak!... — rzekł pan de Meyrentin w zamyśleniu. — Policzek na ulicy... hm... No, dobrze — pomówimy jeszcze o tem. A tymczasem, siadaj pan, panie Bombarda — i bierz swoje papiery. Ale najpierw — cóż panu powiedziano na poczcie?

— Powiedziano mi, że nadeszła wczoraj depesza do pana Coriolisa i oddano ją służącemu tegoż, który właśnie był na poczcie z listami swego pana.

— Dlaczego Noel nie oddał mi tej depeszy? — zawołał Coriolis. — Co to może znaczyć? Idź — zapytaj go o to, Gertrudo!

Stara służąca wyszła i prawie natychmiast powróciła, ud rzając się jedną ręką po czole, podczas, gdy w drugiej trzymała depeszę.

— Ach! Moja pamięć! Moja biedna głowa! Co się ze mną dzieje! Powinien mnie pan wyrzucić na ulicę, mój drogi panie! Noel oddał mi tę depeszę, a ja włożyłam ją do kieszeni i dopiero w tej chwili przypomniałam sobie o niej. Ach! oto co znaczy starzeć się!

— A to pięknie! — rzekł Coriolis, wyrywając depeszę. — Wynoś się!

Gertruda, strapiona, wyszła. Coriolis przeczytał depeszę. Sędzia zapytał o treść.

— Jak widzę — depesza mego siostrzeńca niepokoi pana bardzo, panie sędzio!

— Niesłychanie! I powiem panu, dlaczego. Wiadomość o tem, czy pański siostrzeniec był oczekiwany w Saint Martin jest o tyle ważna, że chodzi o wyjaśnienie, kogo mianowicie chciano zamordować ubiegłej nocy: komiwojażera, czy pana Patryka...

Magdalena nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia i pobladła nagle, jak jej narzeczony.

Dla Patryka przypuszczenie sędziego było jakby uderzeniem młotem; zaszumiało mu w uszach i miał wrażenie, że zemdleje na nowo. Co do Coriolisa, to odtrącił stanowczo myśl, żeby ktoś mógł się do tego stopnia zajmować gamoniem Patrykiem, żeby go aż chciał zamordować. Wzruszył ramionami i rzekł zjadliwie:

— On się nigdy nie wtrącał do naszych kłótni — trzymał się zawsze tylko spódnicy swojej matki.

Doktor wyraził półgłosem ubolewanie, że sędzia nie zachował ostrożności wobec chorego — i rzekł do p. de Meyrentin:

— Oszczędzaj go pan!

Ale sędzia, który dotąd musiał oszczędzać wszystkich, teraz nie miał tego zamiaru, zwłaszcza, iż nadarzała się dobra sposobność, żeby wywrzeć silne wrażenie na młodym człowieku i skłonić go do najobszerniejszych zeznań.

Wyprawił więc grzecznie wszystkich, prócz pisarza z pokoju i stanął naprzeciwko Patryka, który jąkał:

— Mnie zabić? Ależ... ależ ja tu nikogo nie znam i przytem... nie mam wcale wrogów, panie sędzio!

— Zawsze się tak zdaje i każdy prawie twierdzi, że nie ma wrogów — odparł sentencyonalnie p. de Meyrentin. — I właśnie w chwili, kiedy się czuje najbardziej bezpiecznym, otrzymuje się uderzenie! No — więc powiedz mi pan wszystko, co pan wie, co pan słyszał i co pan przypuszcza. Niech się pan nie obawia niczego, zaręczam, że będę postępował z jak największą dyskrecyą. O tem, co musi zostać między nami, nie dowie się nikt, aż do

chwili, kiedy zbrodniarz będzie ukarany. Proszę mieć do mnie zaufanie, panie Saint-Aubin. Słucham więc!

Patryk dokładnie i z możliwą drobiazgowością opowiedział znane nam już wypadki ubiegłej nocy. Opowiadając, starał się je wytłumaczyć samemu sobie. W miarę jak mówił, przypuszczenie sędziego śledczego nabierało dlań coraz więcej cech słuszności i Patryk począł drżeć.

Gdy skończył, spojrzał z wielkim niepokojem na p. de Meyrentin. Sędzia gładził nerwowo swe faworyty, a jego małe oczka świeciły gniewnie z poza binokli w złotej oprawie.

— To wszystko? — zapytał sucho.

— Powiedziałem panu wszystko, co widziałem i słyszałem — westchnął Patryk.

— I pan nic więcej nie widział? I nie miał pan tyle — już nie mówię odwagi — ale ciekawości, żeby dojść do okienka w ścianie i zobaczyć, co się tam działo na suficie?

— Panie sędzio, byłem obezwładniony... a jeśli nie miałem dosyć odwagi, to tembardziej nie mogłem zdobyć się na ciekawość!

Pan de Meyrentin czynił nadludzkie wysiłki, żeby nie okazać swego rozczarowania.

— I pan pozwolił tak umrzeć temu biedakowi!

— Ależ, panie sędzio...

— Pozwolił mu pan umrzeć za siebie — ciągnął z okrucieństwem sędzia — tak jest! Gdyż zamierzano pana właśnie powiesić, to nie ulega wątpliwości! Czekajże pan, nie mdlej... nadzieja jeszcze nie stracona. Odpowiedz pan na moje pytania! Czy wiadomo było wszystkim, że pan miał spać na bilardzie?

— Tak jest.

— Pan wszedł do gospody z obwiązaną głową, a Blondel, kładąc się, obwiązał sobie także głowę chustką! Czy tak?

— Tak jest.

— Czy pan jest pewny, że to pańskie imię wymawiano w stronie sufitu?

— Niestety, panie sędzio, słyszałem bardzo wyraźnie...

— Czekaj pan, czekaj! W stanie, w jakim się pan znajdował, trudno było zdawać sobie dobrze sprawę ze wszystkiego. Wspominał mi pan, że wymawiano pańskie imię wśród sapania wysilonego, wśród rzężenia... Słychać je było od strony sufitu. Ale pod sufitem był także powieszony ten biedak. Więc może to on, może to Blondel, wiedząc, że pan jest obok, wzywał pańskiej pomocy?

— To jest nieprawdopodobne, panie sędzio. On wołał na pomoc, ale nie „Patryku!“ Za mało znałem pana Blondela, nie mógłby więc wołać mnie po imieniu.

— Hm, słusznie — zgodził się p. de Meyrentin, coraz bardziej zdenerwowany, gdyż świadek zdawał się obalać swemi zeznaniami hipotezę, jaką sobie wyrobił w ostatnich dniach sędzia o zbrodniach, popełnionych w Saint Martin.

— Tak, rzeczywiście, ma pan słuszność — dodał po chwili milczenia... A więc to mówił morderca. Mówił to wśród ciężkiego sapania, to naturalne, było ono wywołane trudnością oddychania w pozycyi głową na dół... Tak, no a jakim tonem wymawiał on pańskie imię?

— Ach, panie sędzio, zdaje mi się, że mówił to z nienawiścią!

— A widzi pan! A kto wogóle mówi do pana po imieniu?

— Prócz ojca, matki i wuja, tylko moja kuzynka Magdalena.

— A!

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia. Sędzia rozmyślał, gryząc wargi.

— A te głosy za drzwiami... Czy słyszał pan wyraźnie to zdanie: „Litości! Litości dla domu człowieka!

— Tak jest, słyszeliśmy to wszyscy wyraźnie.

— I co, pańskiem zdaniem, oznacza ten okrzyk?

— Nie mam pojęcia, panie sędzio.

— Ani ja również — rzekł sędzia. — Aha, więc morderca miał mankiety. Jakiego rodzaju były te mankiety?

— O, nie mógłbym ich poznać. Widziałem tylko białą linię, oddzielającą rękawy.

— Chciałbym wiedzieć, jakie pan miał myśli, podczas gdy widział pan scenę duszenia Blondela.

— Ach, zdaje mi się, że wtedy miałem bardzo mało myśli, zrozumiałem tylko, że te dwie ręce spuszczają się, żeby udusić Blondela.

— Do jakiego miejsca widział pan te ręce?

— Mniej więcej do łokci.

— I mógłby pan je poznać?

— Nie wiem dopravdy... Rękawy były koloru brunatnego — tak mi się zdawało. W pokoju bilardowym było mało światła.

— To tłumaczy, dlaczego powieszono kogo innego, zamiast pana... to wydaje mi się coraz pewniejsze. Pomyśl pan o tem dobrze!... Myśl pan tylko o tem! Staraj się pan pomódz mi wszystkiemi swemi siłami, całą swoją intelligencyą.

— Ale, panie sędzio, ja nic nie rozumiem w tej całej sprawie, nic nie pojmuję!

— I ja nie więcej, panie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłowka.

Ułożył I. B., Bochnia.

Początkowe i końcowe litery należycie odgadniętych wyrazów, czytane z góry na dół, podadzą nam sensacyjne zdarzenie z dni ostatnich.

— ral
— era
— gor
— mil
wal —
mró —
— oło
— gat
bie —
sad —
— óra
— ima
bor —
sie —
— oła
— ara
wal —
gor —
ole —
kar —

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym

a	a	a	a	a
a	b	e	e	k
n	n	n	o	o
o	o	r	r	r
r	r	r	w	z

Znaczenie wyrazów: 1. Księga święta jednego z wschodnich narodów. 2. Stajnia. 3. Przyrząd sportowy. 4 Miejsce popisów. 5. Nie z osobna.

Łamigłówka.

Ułożył W Zachwatowicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół i końcowe w tym samym porządku, utworzą znane polskie przysłowie.

□ — — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — □
□ — — — □
□ — — — — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □

Znaczenie wyrazów: 1 Tytuł. 2 Ubiór kapłana 3 Wielkie zbiorowisko wody 4 Miasto w Wirtembergii. 5 Ogólnikowe określenie ze względu na liczbę (n p. osób) 6. Rzeka w Galicyi 7. Grzyb jadalny. 8 Imię żeńskie. 9. Tytuł kilku polskich dzienników.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył X Y. Radziszów.

Z podanych liter złożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, d, d, d, e, e, i, i, i, i, k, k, k, k, ł, m, m, n, o, o, o, o, p, p, p, s, t, w, w.

Bilet wizytowy.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z liter imienia i nazwiska ułożyć zawód tego jegomościa:

Adam Fr. Kybłanty

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła K. Szumanska, Rawa Ruska.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:

Wiluś zawiesił zrana Polkowi lisa.

Logogryf.

Ułożył A. Piekło, Podgórze.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzą imię i nazwisko polskiego poety.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska 2 Rzeka w Rosyi. 3 Imię męskie 4 Dramat W Hugo 5 Miasto portowe w Hiszpanii 6. Miasto w Hessyi i miasto w Saksonii 7. Szukany wyraz 8 Dwaj powieściopisarze rosyjscy 9 Wyżyna w Azyi. 10. Urząd dworski w Polsce. 11 Inaczej klasa społeczna. 12. Dopływ Wołgi. 13 Samogłoska.

Rozsypane litery.

Ułożyła K Szumańska, Rawa Ruska.

Z podanych liter ułożyć polskie przysłowie:

a, a, a, b, c, c, c, c, ć, d, e, e, h, h, i, i, i, i, k, l, m, n, n, o, o. o, t, u, w. y, y.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Dzieje oręża polskiego w epoce Napoleońskiej,** opisał Dr. Maryan Kukiel.

REUMATYZM i PODAGRĘ

można wyleczyć wszechświatowo znanym środkiem.

Kilka tysięcy osób zupełnie wyleczeni zostali dzięki temu środkowi.

Żądajcie środek ten w każdej aptece lub składzie aptecznym.

Każdy czytelnik tego wydania, cierpiący na reumatyzm lub podagrę, powinien po przeczytaniu niniejszego, niezwłocznie zaopatrzyć się tym cudownym środkiem, gdyż takowy pomaga i w tym wypadku gdzie wszelkie inne lekarstwa nie okazały nawet najmniejszej ulgi. Tysiące nieszczęśliwych, cierpiących na tak męczące choroby jak reumatyzm, podagra, scyatyka i ischias, dzięki temu środkowi powrócili do zupełnego zdrowia.

Ja chciałbym wyleczyć każdego cierpiącego na tę chorobę, gdyż ja sam przez dłuższy czas cierpiałem na jedną z tych najuporczywszych form reumatyzmu i podagry i żaden lekarz nie był w stanie mi pomódz; wszyscy lekarze uznali chorobę mą za nieuleczalną i osądzony zostałem męczyć się i cierpieć do końca mego życia. Będący już blizko rozpaczy, przyszedłem na pomysł chorobę tę studyować i zacząłem usilnie pracować z nadzieją samemu wynaleźć środek dla mego wyleczenia. Po upływie dłuższego czasu udało mi się wynaleźć zestawienie ziół, po którego użyciu uczułem znaczne polepszenie. Z wielką wytrwałością nadal używałem środek ten i po upływie krótkiego czasu, zdołałem oswobodzić się zupełnie od strasznych mych cierpień.

Od tego czasu postanowiłem zapoznać wszystkich cierpiących na tę chorobę z środkiem mym i pokazać im, że choroba ich **nie** jest niewyleczalną, równocześnie chcę wskazać wszystkim jakim sposobem mogą otrzymać dla siebie ten cudowny leczniczy środek. Z każdą pocztą otrzymuję listy dziękczynne, z których poniżej wybrane następujące.



Ruda Maleniecka, 2 Luty 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam WPana żem tak długo nie odpisał na list, który otrzymałem i za pamięć dziękuję. Po użyciu czterech pudełek Pańskiego środka „Trayser“ ból z ramienia ustąpił i czuję się zdrów. Liczę sobie za obowiązek między znajomymi rozgłaszać o środku uleczalnym „Trayser“. Również niemam nic przeciw temu jeśli Sz. Pan list mój umieści na liście wyleczonych pacyentów przez środek „Trayser“.

Z poważaniem **H. Werner.**



Łódź, 12-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Zwracam sie do WPana i donoszę Mu, że preparat „Trayser“ otrzymałem i po użyciu takowego czuję się zacznie lepiej, spodziewam się, iż przy dalszem używaniu pastylek „Trayser“ wyleczę się całkowicie gdyż czuję się coraz lepiej. Równocześnie dołączam swoją fotografię, jak również upraszam list mój umieścić w liście wyleczonych przez preparat „Trayser“. Poczytuję sobie za obowiązek rekomendować preparat „Trayser“ między cierpiącymi. Dziękuję WPanu za łaskawą pomoc.

Z poważaniem **P. Szymanowski.**



Lublin, 26-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Przepraszam najmocniej, że tak długo nie dałem żadnej odpowiedzi, gdyż czekałem rezultatu mojego leczenia się i dzięki Pańskiemu wynalazkowi „Trayser“ jest mi znacznie lepiej. Wdzięczność moja dla WPana jest wielką i gdziekolwiek mogę staram się gorąco polecać środek ten.

Z poważaniem **Bronisław Żarnicki.**



Tarnopol 16-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Po użyciu Pańskiego leczniczego środka „Trayser“ czuję się o wiele lepiej i już mogę sama chodzić. Ten pan z ulicy Kraszewskiego napisał na moje polecenie. Posyłam WPanu fotografię oraz składam serdeczne dzięki za Jego skuteczny „Trayser“.

Z szacunkiem **Katarzyna Prochacka.**



Łódź, 5-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Niniejszem zaświadczam skuteczność Pańskiego preparatu „Trayser“. Po użyciu jednego pudełka pastylek przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“ czuję się zupełnie dobrze za co WPanu składam najserdeczniejsze podziękowanie. Pański preparat rekomenduję znajomym. Przy niniejszem dołączam swoją fotografię i pozwalam WPanu list mój zamieścić w liście wyleczonych.

Z poważaniem **Stefan Szmidt.**



Ciechanów, 11-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Z przyjemnością przesyłam WPanu fotografię swoją i jestem obowiązany potwierdzić, że środek „Trayser“ jest najskuteczniejszy i najlepszy dotychczas wynaleziony do leczenia reumatyzmu i podagry, gdyż po użyciu tylko małej ilości tego cudownego środka czuję się zupełnie zdrów i polecam takowy wszystkim znajomym.

Z poważaniem **Franciszek Tetrzyński.**



Radom, 10-go Marca 1911 r

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem, gdyż byłem w podróży. Spieszę donieść, że gdzie mogę polecam lekarstwo WPana, które bez wszelkiej blagi daje wprost świetne rezultaty, o czem niejednokrotnie przekonałem się, i tak mój znajomy kupiec z Radomia p. J. Wadrewski zachorował na reumatyzm, leżał w łóżku 3 miesiące, leczył się różnemi środkami, kosztowało go to grube pieniądze, lecz bez rezultatu, dałem mu pastylki „Trayser“ pomogły o tyle, że wstał z łóżka i o kiju zaczął chodzić, dałem adres WPana i sprowadził preparat Pański i dziś jest prawie całkiem zdrów, to samo jest z moją żoną czuje się zupełnie dobrze. Pyta WPan czy może treść listu mego ogłosić, ależ proszę bardzo, wszak to co napisałem jest szczerą prawdą, niema w tem przesady ani też blagi, jestem wielce wdzięczny WPanu gdyż pozbawił żonę moją choroby, tak przykrej i kosztownej w leczeniu. Stosownie do życzenia posyłam fotografię żony. Proszę wierzyć, że gdzie będę mógł będę polecał środek WPana.

Z poważaniem **J. Wagner.**

Na żądanie wysyłam niezwłocznie dokładne adresa wyżej wzmiankowanych osób.

DOPRAWDY, po przeczytaniu powyższego, nawet najuporczywszy sceptyk przyznać musi, że odkrycie tego środka jest darem dla cierpiącej ludności. Ja mogę zapełnić książki w kilkunastu tomach, i wtedy wątpię czy mógłbym umieścić wszystkie otrzymane listy dziękczynne. Młody i stary, bogaty i biedny słowem we wszystkich stanach i warstwach społecznych z wszystkich części świata otrzymuję zawiadomienia o zupełnem wyleczeniu dzięki tylko temu środkowi. Wielu z nich już od kilku lat przykuci byli do łoża, inni zaś z powodu strasznych cierpień reumatycznych tylko za pomocą laski poruszać się mogli, a ani jeden z podobnych wypadków nie okazał się beznadziejnym dla środka od reumatyzmu i podagry „Trayser“.

Żądajcie dlatego niezwłocznie środek ten przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“ w każdej aptece lub składzie apt.

Środek ten zestawiony jest w formie pastylki, każda pastylka jest jedną dozą. Wystrzegajcie się podrabiań i żądajcie tylko prawdziwy „Trayser“. Aby przekonać WP. że jestem w zupełności pewien w skuteczną siłę mojego leczniczego środka i, że takowy musi bezwarunkowo WP. pomódz, to jeżeli WP. nie żąda niezwłocznie udać się do apteki aby kupić środek ten, nie próbując go wcześniej, gotów jestem wysłać WP. zupełnie bezpłatnie próbny pakiecik tego środka pod warunkiem, że WP. wypełni dokładnie niżej drukowany kupon i przyśle takowy pod moim adresem. Gdy WP. środek ten już spróbuje, może potem żądać takowy w każdej aptece lub składzie aptecznym. Adres mój:

M. E. TRAYSER, Nr. 162 Bangor House, Shoe Lane, LONDON, England.

UWAGA. — Jeśli WP. żądać będzie więcej tego środka, może dostać takowy na miejscu w aptece lub składzie aptecznym.

KUPON.

Upraszam o przesłanie próbnego pakiecika środka leczniczego przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser“ jak również bezpłatną broszurę w języku polskim z opisem o reumatyzmie i podagrze, ich przyczyny, rozmaite postacie i leczenie.

Imię i nazwisko ....

Adres ....

....

Cierpię ....

(Upraszam napisać tutaj [illegible] WP. cierpi).

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław [illegible] Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.